Sportowy 24
SHAKIRA PRZYĆMIŁA PIŁKARZY. GWIAZDA DAŁA NAJLEPSZE DOTĄD SHOW NA MUNDIALU

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

PONIEDZIAŁEK, 15.06.2026
NR 48 (2559)
CENA 6,00 ZŁ (W TYM 8% VAT)
INFORMACJE Z KRAJU I ZE ŚWIATA **WWW.I.PL**



FOT. AUTOR

s.4
Karol Nawrocki przejdzie do historii. Nie jako najlepszy prezydent RP, ale jako ten, który zawetował najwięcej ustaw

s.6–7
Raport komisji ds. Pegasusa gotowy. Co w nim będzie? Raport miał być gotowy w marcu, potem w kwietniu, wreszcie maju, opóźnienie wynika z części niejawnej raportu

s.14–15
Natalia Kukulska: Kiedy coś robię, to idę zawsze na całość. Wszyscy, którzy mnie znają, wiedzą, że u mnie nie ma nigdy chodzenia na skróty i po taniości



FOT. MARTA WOJTAL/MT.PRAAS.

s.8–11
Martyna Wojciechowska: Everest uratował mi życie, a potem zrozumiałam, że znacznie trudniej zejść ze szczytu, niż na niego wejść

NR ISSN 1898-3081 | NR INDEKSU 349-682

eprasa.pl 22d88d998a

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa **12 312 53 88**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W piątek **magazyn Puls**

Paweł Piotr Reszka: Nieopowiedziana historia potrafi demolować rodzinę jak ropień ukryty głęboko pod skórą. Wina zawsze jest jednostkowa



Marek Mazurkiewicz
publicysta, politolog

PRZESZŁOŚĆ NIE MOŻE NISZCZYĆ PRZYSZŁOŚCI

Niemal dokładnie trzydzieści pięć lat temu ówczesny polski premier Jan Krzysztof Bielecki i kanclerz świeżo zjednoczonych Niemiec Helmut Kohl podpisali przełomowy Traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy. Dokument rozpoczynał nowy rozdział w historii polsko-niemieckiego sąsiedztwa i dotykał bolesnych doświadczeń wspólnej przeszłości. Dla Polski traktat potwierdzał odzyskaną demokratycznym zrywem suwerenność w polityce zagranicznej, ale i otwierał drogę do integracji z Zachodem. Droga ta wiodła właśnie przez Niemcy. Świadomość ciężaru przeszłości motywowała do budowania wspólnej przyszłości. W latach 90. ubiegłego wieku korzystały na tym obie strony. Niemcy inwestowali i zarabiali, a polska gospodarka otrzymała dzięki niemieckiemu kapitałowi modernizacyjnego „kopa", którego efekty zaczęliśmy zbierać w kolejnych dekadach. Polacy i Niemcy zaczęli się do siebie zbliżać i zasypywać podziały, które zbudowała brutalna przeszłość, a utrwalały lata wrogiego komunizmu. Nie brakowało jednak przykładów, kiedy demony przeszłości powracały, przypominając traumy poprzednich pokoleń. To utrudniało budowanie dobrego sąsiedztwa i bywało cynicznie wykorzystywane przez polityków, ale nie zdołało przekreślić tego, co Polacy i Niemcy osiągnęli przez minione 35 lat. Rok po traktacie z Niemcami polski rząd podpisał podobny dokument z Ukrainą. Obie strony zobowiązywały się w nim do tego, że pozytywne rozdziały wspólnej historii „będą sprzyjać rozszerzaniu współpracy między bratnimi narodami". Ta historyczna i kulturowa bliskość sprawiła, że polscy politycy, mimo różnic między sobą, w przypadku relacji z Ukrainą zachowywali rzadko spotykaną solidarność, wspierając wyboistą drogę tego kraju na Zachód. Polacy zdali natomiast egzamin z solidarności wobec Ukraińców w lutym 2022 r., otwierając dla nich swoje domy, gdy napadł na nich wróg. Oba narody nie mogą tego przekreślić jedną nierozsądną decyzją prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, który nadał jednej z jednostek wojskowych imię UPA. Bo troska o przyszłość powinna być największą motywacją do przezwyciężania nawet najbardziej brutalnej przeszłości.

Bardzo bym prosił pana prezydenta, aby się upomniał o to, aby Zbigniew Ziobro został pozbawiony ochrony Stanów Zjednoczonych tak, aby mógł stanąć w Polsce przed obliczem prokuratora i sędziego

Radosław Sikorski, wicepremier, szef MSZ

POLSKA - UKRAINA. SĄSIEDZI I RYWALE, ALE NIE WROGOWIE



Liliana Sonik
publicystka

Kto nie zna ludobójczych poczynań UPA, ten nie doceni „cudu", jakim był zryw solidarności Polaków wobec zaatakowanej Ukrainy.

Nadanie elitarnej jednostce Sił Zbrojnych imienia „Bohaterów UPA" z komentarzem prezydenta o „przywracaniu historycznych tradycji narodowego wojska" potwierdziło, co było już widoczne: ukraińskie władze postanowiły budować ukraińską tożsamość na kulcie UPA.

Nie kto inny, tylko Wołodymyr Zełenski podłożył minę i podpalił lont pod symbolicznym murem chroniącym Ukrainę przed krytyką. Najwięźlej ujął to ekspert ds. Europy Wschodniej Łukasz Adamski: „Roman Szuchewycz wydawał zbrodnicze rozkazy, zaakceptował rzeź wołyńską, nakazał jej powtórzenie w Galicji. Zbrodnicze rozkazy się zachowały. [...] Nie akceptujemy kultu formacji i osób odpowiedzialnych za masowe zbrodnie przeciwko ludności cywilnej, bo taki kult jest pochwałą ludobójstwa de facto. Przyjęliśmy konwencję o karaniu i zapobieganiu zbrodni ludobójstwa, żeby zbrodnie tak napiętnować, aby się nigdy nie powtórzyły. Jeśli osoby odpowiedzialne za te zbrodnie są teraz wynoszone na piedestał, to się musi spotkać z potępieniem Polaków i Polski i powinno się spotkać z potępieniem innych krajów europejskich".

Co teraz? Bo sytuacja wygląda tak: - Polska i Ukraina mają cele wspólne. Zależy nam na powstrzymaniu imperialnej Rosji oraz na tym, by Ukraina stała się państwem respektującym demokratyczne standardy w sferze symbolicznej i ekonomicznej. - Polska i Ukraina mają też interesy sprzeczne. Dobre sąsiedztwo nie oznacza braku różnic. Terenem bezwzględnej konkurencji stanie się np. rolnictwo. Żeby uniknąć ostrego kryzysu, trzeba mieć mapę drogową różnic celów i działań profilaktycznych.

- To nie może oznaczać wrogości wobec Ukraińców. 90 procent z nich nic nie wie o potwornościach, jakich dopuszczała się UPA. Skąd mają to wiedzieć, skoro rzezie objęte są autocenzurą. Przecież dla ogromnej rzeszy Polaków film „Wołyń" był poznawczym szokiem.

- Polska jako pierwszy kraj na świecie uznała niepodległość Ukrainy. Ale tchórzliwi politycy nie wykorzystali trzech dziesięcioleci, by dokonać kauteryzacji rany. Dopiero Zełenski zmusił Polskę do reakcji. Wskutek jednoznacznego stanowiska prezydenta Nawrockiego temat zbrodni UPA jednak „pracuje" - koniec zamilczenia i niewiedzy. W Polsce, w Brukseli i Ukrainie.

Wołodymyr Zełenski nie jest zawodnikiem naiwnym. Był ostrzegany i ostrzeżenia zlekceważył. Wiele wskazuje, że chciał mocnej reakcji, by wywołać efekt flagi, czyli wzrost poparcia u siebie. I to dostał. Cenna rzecz w chwili, gdy w Kijowie odsłaniane są gigantyczne afery korupcyjne z udziałem jego przyjaciół i współpracowników.

W książce Zbigniewa Parafianowicza „Kłopot z Zełenskim" kłopotów jest więcej. I nie dotyczą tylko spraw korupcyjnych. „Zełenski prywatyzuje zasługi, a uwspólnotawia porażki. Gdy poparł desant na drugi brzeg Dniepru w Krynkach i wysłał na pewną śmierć setki żołnierzy, czy przyznał się do błędu? Czy gdy oferował całemu światu drony za pieniądze, gdy na Ukrainie ich brakowało, wykazał się jakąś krytyczną refleksją? Jako zakochany w sobie król nie musiał".

Przyszedł jednak czas, gdy Ukraińcy zaczynają stawiać pytania. Niemcy i Francuzi sygnalizują, iż akces Ukrainy do Unii musi poczekać. Na kłopoty najlepsza jest awantura. W tym przypadku z Polską.

CZY MIDELÓWKĘ DA SIĘ LUBIĆ?



Tadeusz Płatek
publicysta

Midelówka - jest to wyraz z internetu. Ukuł go chyba Paweł Paczul, którego głównym tematem rozważań jest tzw. patodeweloperka. Midelówka oznacza mieszkanie tak małe, że nie spełnia definicji lokalu mieszkalnego, czyli ma mniej niż 25 mkw. Sama nazwa pochodzi od Kuby Midela - pana, który klitkami handluje, flipuje, kupuje, sprzedaje, a wszystko to czyni legalnie obchodząc przepisy. Jego klienci kupują więc nie mieszkania, a lokale usługowe, dla których nie określa się minimalnej powierzchni i płaci się wyższy podatek od nieruchomości. Np. za 25-metrowe mieszkanie w Krakowie płaci się, 1,25 PLN/m, a za midelówkę o powierzchni 17 m - 35,53 PLN/m. Różnica przy tak małym metrażu to trochę ponad 500 złotych rocznie.

No i w sieci roi się od prześmiewczych filmów komentujących klitki, których powierzchnia pozwala wyłączenie na ustawienie łóżka, ale krzesła to już niekoniecznie. Filmów pokazujących jakieś piwnice z małymi okienkami na poziomie gruntu, albo lokale tak kameralne, że mimo obecności pełnowymiarowego okna, nie da się go do końca otworzyć. Wszystko to kończy się pełnym śmiechu (rzadziej oburzenia) złorzeczeniem na patodeweloperów, których papieżem jest wspomniany pan Midel, człowiek potrafiący zamienić w złoto nawet kibel, który nie mieści się w łazience. To znaczy mieści się, ale gdy się na nim siedzi, to kolana uniemożliwiają zamknięcie drzwi, co i tak nie ma znaczenia, bo reszta midelówki jest tego kibla przedsionkiem.

Tylko, że to nie jest wina Midela, bo ludzie te klitki kupują. Bo do czegoś im są potrzebne, a w kraju, gdzie mieszkań wciąż brakuje - dają wolność. Problem nie polega nawet na tym, że na takie kurniki wydaje się zgodę w nowych inwestycjach. Najgorsze jest niszczenie tego, co piękne, czego sam kiedyś, szukając mieszkania, doświadczyłem. To była ul. Urzędnicza. W kamienicy w stylu przedwojennego modernizmu, z olbrzymimi, trzykwaterowymi oknami, oglądałem przepiękne 80-metrowe mieszkanie. Takie, w którym chce się żyć. Zakochałem się, poprosiłem o rezerwację. Gdy tydzień później zjawiłem się ponownie, wszystko było już podzielone na trzy nory. A okna nie rozświetlały już przestrzeni, tylko ścianki.

Pozwólmy ludziom mieszkać, gdzie chcą, ale chrońmy to, co piękne, co kiedyś ktoś naprawdę dobrze wymyślił.

eprasa.pl 22d88d998a

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011538590

25 LAT RAZEM ZE STRAŻAKAMI. ORLEN DZIĘKUJE TYM, KTÓRZY JAKO PIERWSI NIOSĄ POMOC

Od 25 lat ORLEN wspiera strażaczki i strażaków w całej Polsce, realizując program „ORLEN na Straży". Jubileusz programu jest okazją do podsumowania ćwierćwiecza współpracy ze środowiskiem pożarniczym, ale przede wszystkim do podkreślenia znaczenia służby ludzi, którzy każdego dnia dbają o bezpieczeństwo lokalnych społeczności. Z tej okazji ORLEN rozpoczął ogólnopolską kampanię „Pierwsi tam, gdzie potrzebna jest pomoc", pokazującą współczesną rolę strażaków i znaczenie ich codziennej pracy.

Przez lata program „ORLEN na Straży" stał się jednym z największych i najdłużej realizowanych przedsięwzięć wspierających straż pożarną w Polsce. Dzięki niemu jednostki mogą pozyskiwać sprzęt ratowniczy, pojazdy i wyposażenie, a także środki na szkolenia oraz rozwój kompetencji strażaków. Wsparcie trafia zarówno do Ochotniczych Straży Pożarnych, jak i wybranych jednostek Państwowej Straży Pożarnej, wzmacniając ich gotowość do działania w sytuacjach zagrożenia.

Strażacy odpowiadają na coraz większe wyzwania

Współczesna służba strażacka wygląda zupełnie inaczej niż jeszcze kilkanaście czy kilkadziesiąt lat temu. Dziś strażacy nie są wyłącznie ratownikami gaszącymi pożary. Coraz częściej uczestniczą w akcjach ratownictwa drogowego, reagują na skutki gwałtownych zjawisk pogodowych, usuwają następstwa wichur i powodzi, zabezpieczają zdarzenia związane z zagrożeniami chemicznymi oraz wspierają mieszkańców podczas różnego rodzaju sytuacji kryzysowych.

To właśnie oni bardzo często jako pierwsi docierają na miejsce zdarzenia i rozpoczynają działania ratownicze jeszcze przed przyjazdem innych służb. Od ich przygotowania, doświadczenia i wyposażenia zależy nie tylko skuteczność akcji, ale często także zdrowie i życie osób potrzebujących pomocy.

Zmieniający się charakter zagrożeń sprawia, że jednostki ratownicze muszą stale rozwijać swoje kompetencje i dostosowywać wyposażenie do nowych wyzwań. Program „ORLEN na Straży" odpowiada na te potrzeby, wspierając strażaków zarówno w zakresie nowoczesnego sprzętu, jak i podnoszenia kwalifikacji niezbędnych podczas coraz bardziej wymagających interwencji.

Program rozwijający się wraz z potrzebami ratowników

Przez ćwierć wieku program ewoluował razem ze zmieniającą się rzeczywistością i potrzebami środowiska strażackiego. Od dwóch lat, odpowiadając na potrzeby sygnalizowane przez strażaków, wsparcie nie ogranicza się wyłącznie do finansowania sprzętu i wyposażenia. Coraz większy nacisk kładziony jest także na rozwój kompetencji ratowników, wzmacnianie ich gotowości do działania w szczególnie wymagających warunkach oraz wsparcie psychologiczne osób uczestniczących w najtrudniejszych akcjach ratowniczych. To reakcja na wyzwania, z którymi na co dzień mierzą się ratownicy. Udział w wypadkach drogowych, katastrofach czy zdarzeniach o tragicznych skutkach pozostawia często ogromne obciążenie emocjonalne, dlatego coraz większą uwagę zwraca się również na dobrostan psychiczny osób niosących pomoc innym.

Takie kompleksowe podejście pozwala budować bezpieczeństwo nie tylko poprzez zakup nowoczesnego sprzętu, ale również dzięki inwestowaniu w ludzi, którzy z tego sprzętu korzystają. Odpowiednio przygotowany, wyszkolony i wspierany strażak może skuteczniej reagować w sytuacjach zagrożenia i sprawniej pomagać osobom poszkodowanym.

Kampania jako wyraz uznania dla strażaczek i strażaków

Jubileuszowi programu towarzyszy kampania ORLENU „Pierwsi tam, gdzie potrzebna jest pomoc". To największa odsłona komunikacyjna programu „ORLEN na Straży" w jego 25-letniej historii. Jej celem jest pokazanie strażaków i strażaczek nie tylko przez pryzmat akcji ratowniczych, ale jako ludzi, którzy każdego dnia jako pierwsi są gotowi nieść pomoc innym.

Kampania będzie obecna w najważniejszych kanałach komunikacji i dotrze do odbiorców w całej Polsce. Przypomina o znaczeniu pracy wykonywanej przez strażaków oraz zwraca uwagę na odpowiedzialność, jaka wiąże się z ich zawodem. To również forma podziękowania dla wszystkich strażaków i strażaczek za ich zaangażowanie, profesjonalizm i gotowość do działania niezależnie od okoliczności.

Jubileusz programu jest przede wszystkim okazją do wyrażenia uznania dla strażaków i strażaczek, którzy każdego dnia wykazują się odwagą, odpowiedzialnością i gotowością do niesienia pomocy. To właśnie ich służba stała się inspiracją dla tegorocznej kampanii.

Miliony złotych wsparcia dla jednostek straży

Skala pomocy realizowanej w ramach programu systematycznie rośnie. Od momentu rozszerzenia programu o nowe obszary wsparcia przekazano już 756 grantów o łącznej wartości 37 mln zł. Środki te zostały przeznaczone na działania wzmacniające bezpieczeństwo ratowników i poprawiające gotowość operacyjną jednostek w całym kraju.

Obecnie trwa nabór do kolejnej, jubileuszowej edycji programu, której budżet wynosi 20 mln zł. O wsparcie mogą ubiegać się jednostki Ochotniczych Straży Pożarnych, wybrane jednostki Państwowej Straży Pożarnej, a także straże działające przy zakładach i infrastrukturze ORLEN. Szczegóły naboru dostępne są na stronie www.orlennastrazy.pl

W ramach programu finansowane mogą być działania bezpośrednio wspierające codzienną służbę strażaków. Środki przeznaczane są między innymi na zakup specjalistycznego sprzętu i wyposażenia wykorzystywanego podczas akcji ratowniczych, a także na szkolenia rozwijające kompetencje ratowników. Celem jest dalsze wzmacnianie gotowości operacyjnej jednostek oraz zwiększanie skuteczności działań prowadzonych w sytuacjach zagrożenia.

Program od początku tworzony był z myślą o rzeczywistych potrzebach środowiska strażackiego. Dlatego zakres wsparcia zmieniał się wraz z wyzwaniami, jakie pojawiały się przed ratownikami. Dziś obejmuje zarówno inwestycje w nowoczesny sprzęt, jak i działania rozwijające wiedzę, umiejętności oraz odporność psychiczną strażaków.

Ćwierć wieku programu „ORLEN na Straży" pokazuje, jak ważne jest długofalowe wspieranie służb ratowniczych. W świecie, w którym zagrożenia stale się zmieniają, inwestowanie w rozwój strażaków, ich wyposażenie oraz kompetencje pozostaje jednym z kluczowych elementów budowania bezpieczeństwa lokalnych społeczności w całej Polsce. Jubileusz programu jest nie tylko okazją do podsumowań, a również do wyrażenia uznania dla tych, którzy każdego dnia jako pierwsi ruszają tam, gdzie potrzebna jest pomoc.



eprasa.pl 22d88d998a

Polska
Poniedziałek, 15.06.2026

PREZYDENT NAWROCKI PODRÓŻUJE I WETUJE

Karol Nawrocki przejdzie do historii. Nie jako najlepszy prezydent RP, o tym zadecydują Polacy i historia, ale jako ten, który zawetował najwięcej ustaw uchwalonych w Sejmie. Czy to powód do dumy? Na pewno nie

Dorota Kowalska



FOT. ADAM JANKOWSKI

Prezydent Nawrocki i tak do Stanów Zjednoczonych poleciał. Nie przejął się zanadto komentarzami prezesa, ale i polityków koalicji rządzącej

Prezydent Nawrocki ma ostatnio sporo na głowie: na jego biurku wylądowały nowe projekty ustaw, które mógł podpisać lub zawetować, i zaproszenia. Także to zza oceanu: od prezydenta Donalda Trumpa. Trump zaprosił Nawrockiego na UFC Freedom 250 w Białym Domu. To jedna z imprez towarzyszących obchodom 250. rocznicy powstania Stanów Zjednoczonych, nie bez znaczenia jest także fakt, że gala największej organizacji MMA odbyła się w dniu 80. urodzin prezydenta USA.

Prezes PiS nie był tym zaproszeniem zachwycony. Uznaje mieszane sztuki walki za dyscyplinę pozbawioną zasad znanych z tradycyjnych sportów walki.

– Ja nawet lubię oglądać sporty walki, ale takie, w których funkcjonują jakieś zasady związane z tradycją rycerską – stwierdził Jarosław Kaczyński, komentując zaproszenie dla prezydenta Nawrockiego od Trumpa. – Na przykład, bokser, który obala na ziemię uderzeniem innego boksera, nie rzuca się na niego i nie bije go dalej, bo to jest właśnie ta tradycja. Natomiast, tego nie ma w MMA i ja w związku z tym nie poważam, że tak powiem, tego sportu – dodał prezes PiS-u.

Ale prezydent Nawrocki i tak do Stanów Zjednoczonych poleciał. Nie przejął się zanadto komentarzami prezesa, ale i polityków koalicji rządzącej.

Bo przed jego wylotem, szef MSZ Radosław Sikorski umieścił na swoim profilu X ankietę. Zapytał w niej, czy jadąc za publiczne pieniądze do USA, prezydent powinien „upomnieć się o Ziobrę", czy też „prosić o azyl dla Ziobry". Około 77 proc. głosujących wybrało pierwszą odpowiedź.

„Trzymam kciuki, aby prezydent Karol Nawrocki wszedł co najmniej do półfinału" - napisał wcześniej Sikorski, sugerując, że prezydent został zaproszony na galę jako zawodnik.

Do złośliwości Sikorskiego szybko odniósł się szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz.

- Jak wszyscy wiemy, nieczęsto jest, albo w zasadzie w ogóle nie jest gościem wewnątrz Białego Domu. Czasami bywa przed nim. Tam jest taki duży trawnik. Bywa, że nagrywa tam jakieś śmieszne filmiki - mówił Przydacz na antenie RMF FM, odnosząc się do wpisu Radosława Sikorskiego z jednej z jego wizyt w USA. - Ja zaproponowałem panu ministrowi Sikorskiemu, że mogę mu coś przywieźć z Waszyngtonu [...] jakąś pamiątkę, mały Biały Dom, taki breloczek. Jestem w stanie naprawdę tutaj wykazać się pewną otwartością na potrzeby pana ministra - dodał.

Także Donald Tusk pytany przez dziennikarzy o podróż Karola Nawrockiego za ocean, stwierdził, że z oczywistych względów życzy prezydentowi powodzenia w jego amerykańskiej wyprawie i zwrócił się do niego „z gorącym apelem", by w USA „nie dał się zaciągnąć do klatki".

- Wiemy, że lubi boks, ale lepiej nie ryzykować. Wiadomo, jak niektóre walki się kończą, więc mam nadzieję, że nie da się namówić na tego typu konfrontacje - powiedział Tusk.

Tyle wizyta prezydenta Nawrockiego na urodzinach Donalda Trumpa, ale wydaje się, że od wielkiej gali MMA, nawet za oceanem, są rzeczy ważniejsze, przynajmniej dla Polaków.

W ubiegłym tygodniu prezydent Karol Nawrocki zawetował ustawę dotyczącą ordynacji podatkowej i Kodeksu karnego skarbowego, ustawę o rynku kryptoaktywów, a także ustawę o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych. To już 36 wet, co czyni Nawrockiego rekordzistą wśród polskich prezydentów.

Pierwszym prezydentem w historii III RP, który mógł korzystać z prawa weta, był Lech Wałęsa. Podczas pięcioletniej kadencji zawetował 27 ustaw. Aleksander Kwaśniewski w ciągu 10 lat odrzucił 35 ustaw. I do czasów Nawrockiego to on był pod tym względem rekordzistą. Lech Kaczyński z prawa weta skorzystał18 razy. Bronisław Komorowski zawetował zaledwie cztery ustawy. Z kolei Andrzej Duda przez 10 lat - 19.

Co ciekawe, jeśli chodzi o kryptoaktywa, to trzecie weto prezydenta w stosunku do ustawy, która miała uregulować ten rynek.

- Rząd z uporem maniaka uprawia walkę z „krypto cieniem" zamiast realnie rozwiązywać problem. To pokazuje, że niestety intencje nie są tu czyste, chodzi o to, by mówić o problemie z kryptoaktywami, a nie żeby ten problem realnie rozwiązać – stwierdził Karol Nawrocki w swoim oświadczeniu.

Jak dodał, tak jak powtórzone 100 razy kłamstwo nie staje się prawdą, tak „złe prawo nie staje się dobre od tego, że zostaje przegłosowane sto razy".

Z kolei zawetowana ustawa o świadczeniach opieki zdrowotnej zawiera przepisy wprowadzające zmiany w finansowaniu diagnostyki HCV i bezpłatnego leczenia HIV dla osób bez ubezpieczenia. Znalazły się w niej jednak także regulacje wydłużające do 1 maja 2027 roku terminy na złożenie egzaminu z języka polskiego przez lekarzy spoza Unii Europejskiej.

W nagraniu Karol Nawrocki powiedział, że zdecydował się na weto właśnie ze względu na tę drugą część ustawy.

- Nie mam żadnych wątpliwości, że rozwiązania poprawiające dostęp do leczenia osób żyjących z HIV oraz wzmacniające bezpieczeństwo epidemiologiczne są potrzebne i powinny zostać jak najszybciej wprowadzone. Nie mogę jednak zaakceptować sytuacji, w której do ustawy dotyczącej walki z ciężkimi chorobami zostają dopisane przepisy budzące poważne wątpliwości i dotyczące bezpieczeństwa pacjentów. To kolejny raz, gdy rządzący stosują metodę na brzydką wrzutkę - tłumaczył.

Jak przekazał Rafał Leśkiewicz, rzecznik prasowym prezydenta, Nawrocki skieruje do Sejmu własny projekt ustawy o świadczeniach opieki zdrowotnej zawiera przepisy wprowadzające zmiany w finansowaniu diagnostyki HCV i bezpłatnego leczenia HIV dla osób bez ubezpieczenia.

„Brzmi niewiarygodnie, ale prezydent znów zawetował ustawę o kryptowalutach. Jest w to chyba bardziej uwikłany, niż wszyscy myśleli" - skomentował sprawę premier Donald Tusk.

Zbigniew Konwiński z KO napisał, że „Nawrocki trzeci raz wetuje ustawę o kryptoaktywach. Trzeci raz informuje oszustów pokroju Krala, że są pod jego ochroną. Upadek..."

„Prezydent Karol Nawrocki po raz trzeci wetuje ustawę o kryptowalutach. To przestaje być zabawne. Jak można mówić o bezpieczeństwie, skoro trzeci raz staje się po przeciwnej stronie?" - czytamy z kolei we wpisie Joanny Wichy z Lewicy.

Co do trzeciej zawetowanej ustawy, środowisko medyczne jest podzielone w tej sprawie. Samorząd lekarski broni decyzji prezydenta w trosce o bezpieczeństwo pacjentów.

– Decyzję prezydenta o zawetowaniu tej ustawy przyjmujemy z satysfakcją. Od wielu miesięcy wskazywaliśmy, że skuteczna komunikacja między lekarzem a pacjentem jest jednym z podstawowych warunków bezpieczeństwa leczenia. Nie można w nieskończoność przedłużać okresów przejściowych i odstępstw od standardów, które obowiązują wszystkich wykonujących zawód lekarza w Polsce. Dzisiejsze weto to sygnał, że bezpieczeństwo pacjentów oraz równe zasady dostępu do wykonywania zawodu są wartościami nadrzędnymi. Liczymy teraz na szybkie wypracowanie rozwiązań, które będą jednocześnie wspierać system ochrony zdrowia i gwarantować najwyższą jakość opieki medycznej – przekazał PAP Łukasz Jankowski.

Nie wszyscy jednak są tego samego zdania. Część ekspertów alarmuje, że to polityczny ruch pogłębiający kryzys kadrowy, bo prawo wykonywania zawodu może stracić blisko 800 medyków.

- Kolejki do lekarzy są długie i wygląda na to, że będą jeszcze dłuższe. Ruch pana prezydenta to zabawa w przedszkole – mówił w „Fakcie" prof. Włodzimierz Gut, wirusolog.

Jego zdaniem argument dotyczący języka nie powinien przesądzać o możliwości wykonywania zawodu przez lekarza.

- Gdy jesteśmy za granicą i mamy ubezpieczenie, czy martwimy się tym, że lekarz nie zna naszego języka? Lekarza należy oceniać pod kątem jego wykształcenia oraz doświadczenia zdobytego w wykonywanym zawodzie. Wszelkie tłumaczenia nie stanowią dziś żadnego problemu - stwierdził prof. Gut.

I dodał, że „decyzja prezydenta nie przyczyni się do poprawy funkcjonowania ochrony zdrowia".

- Jak rozumiem, ogranicza się lekarzom dostęp do pracy w sferze publicznej. Uważam, że bardzo szybko zostanie to wykorzystane przez prywatne firmy, bo kto zabroni im zatrudniać takie osoby? Nikt - ocenia medyk.

Podkreślił również, że „w przypadku wątpliwości mamy nadzór izb lekarskich, a takie weto prowadzi jedynie do tworzenia niepotrzebnych napięć"".

- Jeżeli lekarz prawidłowo prowadzi całą dokumentację, a być może ma jeszcze do pomocy asystenta, to dlaczego mamy zakazywać takiej osobie wykonywania zawodu? Nie widzę żadnych przeszkód, by mogła swobodnie pracować

- mówi prof. Gut.

Przed skutkami tego konkretnie weta pod koniec maja ostrzegało również Ministerstwo Zdrowia.

„Jeśli prezydent zawetuje ustawę, bez prawa do świadczeń zdrowotnych zostaną nieubezpieczeni pacjenci z wirusem HIV i osoby osadzone, które chorują na WZW C. Jest to duże zagrożenie epidemiologiczne. Brak dostępu do leczenia dla jakiejkolwiek grupy chorych spowoduje znaczący wzrost liczby zachorowań" - poinformował PAP resort.

Wyjaśnił wtedy również, że nowelizacja tych przepisów ma charakter porządkujący i naprawczy wobec luki, która powstała w 2022 roku. Rząd Mateusza Morawieckiego zdecydował wtedy o przesunięciu części kosztów różnych świadczeń medycznych z budżetu państwa do NFZ, jednak nie uwzględnił nieubezpieczonych pacjentów zakażonych wirusem HIV. W konsekwencji wprawdzie cały czas przysługują im darmowe leki, ale świadczenia zdrowotne już nie.

Cóż, lekarze będą się spierać. Pytanie, jak będzie wyglądał prezydencki projekt tej ustawy. O tym przekonany się pewnie niebawem.

Wcześniej prezydent Nawrocki zda nam relacje ze swojej wizyty w Stanach Zjednoczonych. A tam na marginesie, jednym ze sponsorów UFC Freedom 250 w Białym Domu była giełda krytowalut. PAP

eprasa.pl 22d88d998a

Grzegorz Kuczyński

Coraz bliżej do porozumienia USA z Iranem

Zgodnie z ramowym memorandum Iran ma natychmiast otworzyć cieśninę Ormuz dla wszystkich statków handlowych, Stany Zjednoczone natomiast zakończyć blokadę irańskich portów. USA miałyby znieść na pewien czas wszystkie sankcje dotyczące irańskiej ropy naftowej. Stany Zjednoczone zobowiązałyby się też do nieprzyjmowania nowych sankcji przeciwko Teheranowi do czasu zawarcia ostatecznego porozumienia pokojowego

Premier Pakistanu Shehbaz Sharif zapowiedział, że podpisanie porozumienia między Stanami Zjednoczonymi i Iranem nastąpi prawdopodobnie w ciągu najbliższych 24 godzin - poinformowała agencja Reutera.

„Jesteśmy bliżej porozumienia pokojowego niż kiedykolwiek. Jego finalizacja nastąpi prawdopodobnie w ciągu najbliższych 24 godzin. Pakistan szykuje się do elektronicznego podpisania porozumienia zaraz potem, po czym w przyszłym tygodniu dojdzie do rozmów technicznych" - napisał Sharif na X.

Udało się uzgodnić dokument

Wcześniej Sharif napisał, że uzgodniono ostateczny tekst porozumienia, a Pakistan w ścisłej współpracy z obiema stronami pracuje nad sfinalizowaniem następnych kroków. O uzgodnieniu tekstu wstępnego porozumienia poinformował w piątek wysoki rangą przedstawiciel administracji USA. Zaznaczył, że Iran będzie otrzymywać gospodarcze korzyści w miarę wdrażania zapisów porozumień, w tym dotyczących demontażu programu nuklearnego i wywiezienia wzbogaconego uranu.

Najważniejsze punkty umowy USA-Iran

Według przedstawiciela administracji USA porozumienie opiera się na czterech filarach: otwarcie Cieśniny Ormuz i zakończenie jej blokady demontaż irańskiego programu jądrowego wraz z przekazaniem stronie amerykańskiej wzbogaconego materiału, który ma zostać „zniszczony na miejscu, a następnie wywieziony z kraju" długoterminowy pokój regionalny reżim inspekcji zapewniający weryfikację zobowiązań

W zamian Iran ma uzyskać stopniowe złagodzenie sankcji i reintegrację z gospodarką światową. Przedstawiciel Białego Domu kategorycznie zdementował doniesienia o wypłaceniu Teheranowi konkretnych kwot przy podpisaniu memorandum. Wśród zmian, które w ostatnich tygodniach przybliżyły porozumienie, przedstawiciel administracji wymienił słabnącą kontrolę Iranu nad Cieśniną Ormuz, przez którą w ostatnich tygodniach popłynęło więcej ropy niż w początkowej fazie konfliktu - oraz doprecyzowanie zapisów dotyczących zniszczenia i wywozu wzbogaconego uranu.

Ani obecne memorandum, ani ewentualne przyszłe ostateczne porozumienie pokojowe nie będą obejmować programu rakiet balistycznych Teheranu, ani wsparcia udzielanego przez Iran grupom terrorystycznym, takim jak Hezbollah, czy milicjom irackim.

Osobny blok porozumienia dotyczy programu jądrowego. Iran jest gotowy potwierdzić swoje przywiązanie do Układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (NPT) i rozpocząć 60-dniowe negocjacje w celu wypracowania ostatecznego rozwiązania w kwestiach jądrowych.

Ostateczne porozumienie powinno zostać zatwierdzone rezolucją Rady Bezpieczeństwa ONZ. W celu kontroli nad realizacją ustaleń proponuje się utworzenie specjalnego mechanizmu monitorującego.



MIDDLE EAST IMAGES/ABACA/ABACA/EAST NEWS

Porozumienie powinno zostać zatwierdzone rezolucją Rady Bezpieczeństwa ONZ

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011537923

Więcej niż spektakl. Lekcja emocji dla młodzieży

Kultura może bawić, wzruszać i inspirować, ale coraz częściej staje się także narzędziem wspierającym rozwój społeczny oraz emocjonalny młodych ludzi. Przekonali się o tym uczniowie Szkoły Podstawowej im. Stefana Czarnieckiego w Rozniszewie, którzy uczestniczyli w wyjątkowym projekcie realizowanym dzięki programowi „Kulturalny ORLEN".

Kultura bliżej mieszkańców

Jednym z głównych założeń projektu było dotarcie do szkół znajdujących się poza największymi ośrodkami miejskimi. Dzięki wsparciu programu „Kulturalny ORLEN" możliwe było zorganizowanie cyklu wizyt, podczas których uczestnicy nie tylko oglądali spektakle, ale także aktywnie uczestniczyli w warsztatach rozwijających wyobraźnię i umiejętności społeczne.

– Udało nam się już czwarty raz przyjechać do szkoły. Graliśmy spektakl, a później prowadziliśmy rozmowy oraz warsztaty teatralne i arteterapeutyczne dotyczące emocji i rozwoju emocjonalnego dzieci – mówi Marika Liana, aktorka i prowadząca zajęcia. Powracające wizyty pozwoliły zbudować relację z uczniami oraz lepiej dostosować program do ich potrzeb. Dzięki temu każde kolejne spotkanie stawało się nie tylko wydarzeniem kulturalnym, ale również ważnym doświadczeniem edukacyjnym.

Centralnym punktem projektu był spektakl opowiadający historię nastoletniej Zoi, która zmaga się z chorobą nowotworową. Twórcy nie skupiali się jednak wyłącznie na samym problemie zdrowotnym. Przedstawienie poruszało przede wszystkim temat emocji, które towarzyszą zarówno chorej dziewczynie, jak i jej najbliższym. Była to opowieść o strachu, nadziei, samotności, ale również o sile wsparcia i znaczeniu wzajemnej obecności.

– Pokazujemy, jak można oswoić emocje, zaakceptować trudne sytuacje i jak sobie z nimi radzić. Po spektaklu rozmawiamy o tym z dziećmi i prowadzimy warsztaty teatralne – dodała Marika Liana. Dzięki takiej formule młodzi widzowie mogli nie tylko przeżyć historię bohaterki, ale również zastanowić się nad własnymi doświadczeniami i sposobami reagowania na trudne sytuacje.

Warsztaty, które uczą odwagi

Po spektaklu uczniowie uczestniczyli w warsztatach teatralnych i arteterapeutycznych, które rozwijały wyobraźnię, kreatywność oraz umiejętność współpracy. Zajęcia pokazywały, że teatr jest dostępny dla każdego, a udział w nim pomaga przełamywać bariery i budować pewność siebie.

– Już samo wyjście na scenę i pokazanie czegoś przed grupą jest ogromnym osiągnięciem. Teatr pomaga dzieciom uwierzyć we własne możliwości – powiedziała Julia Bochenek-Broniszewska, aktorka i prowadząca warsztaty.



Jak podkreślają organizatorzy, efekty takich działań widać bardzo szybko. Dzieci stają się bardziej otwarte, chętniej zabierają głos i dzielą się swoimi pomysłami.

Ważnym elementem projektu były także specjalnie przygotowane lalki symbolizujące emocje bohaterki i chorobę, z którą się mierzy. Dzięki nim młodzi widzowie łatwiej rozpoznawali i nazywali uczucia pojawiające się podczas spektaklu.

– Program „Kulturalny ORLEN" dał nam możliwość spokojnej pracy nad projektem i dobrego przygotowania zarówno spektaklu, jak i warsztatów – podkreśliła Julia Bochenek-Broniszewska.

Nauka, która zostaje na długo

Najważniejszymi odbiorcami projektu byli oczywiście uczniowie. To oni uczestniczyli w rozmowach, wykonywali zadania artystyczne i wspólnie szukali sposobów na wyrażanie emocji. Jak podkreślali, zajęcia pozwoliły im spojrzeć na wiele sytuacji z nowej perspektywy.

– Podobały mi się ćwiczenia, podczas których wyobrażaliśmy sobie różne rzeczy, a później je rysowaliśmy. Podczas występów najpierw jest stres, ale później pojawia się duma i odwaga – powiedział Bartosz Miśkiewicz, uczeń ósmej klasy.

Młodzież zwracała uwagę, że warsztaty nie przypominały tradycyjnych lekcji. Były okazją do swobodnej rozmowy, współpracy oraz poznawania emocji poprzez działanie. Dzięki temu uczestnicy mogli lepiej zrozumieć siebie, ale również swoich rówieśników.

– Najbardziej lubię, kiedy rozmawiamy o emocjach i później próbujemy je pokazać albo narysować. Warsztaty dodają mi pewności siebie i pomagają lepiej zrozumieć różne sytuacje – powiedziała Kalina Gwardys z klasy siódmej.

Teatr staje się w tym przypadku nie tylko formą artystycznego przeżycia, ale również narzędziem budowania relacji, rozwijania empatii i wzmacniania poczucia własnej wartości. To szczególnie cenne w czasach, gdy umiejętność rozmawiania o emocjach oraz radzenia sobie z trudnymi doświadczeniami staje się jedną z najważniejszych kompetencji młodego pokolenia.

eprasa.pl 22d88d998a

Polska
Poniedziałek, 15.06.2026

RAPORT SEJMOWEJ KOMISJI DS. PEGASUSA GOTOWY. CO W NIM BĘDZIE?

Kiedy sprawa inwigilowania przez Zjednoczoną Prawicę systemem Pegasus polityków ówczesnej opozycji ujrzała światło dzienne, „The Washington Post" pokusił się o porównanie sytuacji w Polsce do afery Watergate, która zakończyła prezydenturę Richarda Nixona. Czy raport komisji ds. Pegasusa uprawdopodobni to porównanie?

Dorota Kowalska

Na ten dokument wielu Polaków czeka z niecierpliwością, chociaż sporo już wiemy. Sejmowa komisja śledcza ds. Pegasusa na przełomie czerwca i lipca ma przyjąć projekt raportu końcowego ze swoich prac, tak przynajmniej wynika z informacji Patryka Michalskiego, autora programu „News Michalskiego" w TVN24+. Tylko jawna część tego dokumentu liczy około 300 stron.

Raport miał być gotowy w marcu, potem w kwietniu, wreszcie maju. Skąd te opóźnienia? Z trudności przy opracowaniu niejawnej części dokumentu.

W jawnej części raportu posłowie podkreślają, że to dzięki ich wcześniejszym zawiadomieniom zarzuty niedopełnienia obowiązków usłyszeli szefowie służb: były szef CBA Ernest Bejda, były szef ABW Piotr Pogonowski i były szef SKW Maciej Materka. Do tego grona ma dołączyć Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik, czyli były minister koordynator służb specjalnych i jego zastępca. Zdaniem członków komisji obaj politycy PiS nie mieli prawa dopuścić do funkcjonowania Pegasusa w Polsce, a zeznania niektórych świadków wprost ich obciążają. Dlatego do dotychczasowych zawiadomień do prokuratury komisja dołoży nowe, także w sprawie składania fałszywych zeznań przez przedstawiciela Centralnego Biura Antykorupcyjnego.

– Dokumenty i treść złożonych zeznań wskazują na kłamstwo – stwierdza jeden z rozmówców Michalskiego.

Raport porusza też kwestię odpowiedzialności Zbigniewa Ziobry i Michała Wosia, czyli ówczesnego ministra sprawiedliwości i jego zastępcy, za sfinansowanie zakupu Pegasusa z Funduszu Sprawiedliwości i wskazuje, że sądowe zgody na użycie systemu były w wielu przypadkach de facto wyłudzane.

Szczególnie niepokojący może być wątek dotyczący jednego z modułów Pegasusa, który – jak wynika z ekspertyzy zleconej przez komisję – przebywał poza granicami Polski. Oznacza to, że dane o inwigilowanych osobach mogą znajdować się w posiadaniu izraelskich służb wywiadowczych. W raporcie szczegółowo omówiono przypadki osób przesłuchanych przez komisję: Krzysztofa Brejzy, Ewy Wrzosek, Jacka Karnowskiego i sędzi Beaty Morawiec.

Po przedstawieniu projektu posłowie będą mieli około tygodnia na zgłoszenie poprawek. Samo posiedzenie Sejmu, na którym zaprezentowane zostanie sprawozdanie, musi mieć charakter niejawny – ze względu na tajne fragmenty dokumentu.

Trudny czas

O tym, że raport jest już prawie gotowy, szefowa sejmowej komisji śledczej ds. Pegasusa Magdalena Sroka mówiła Polskiej Agencji Prasowej już w połowie maja.

- W części jawnej raport mamy praktycznie gotowy, pracujemy jeszcze nad częścią niejawną tego raportu. Na tej końcówce staramy się, żeby jak najwięcej dokumentów odtajnić tak, by w części jawnej móc (...) zaprezentować jak najwięcej szczegółów dotyczących funkcjonowania systemu Pegasus - powiedziała posłanka PSL.

Sroka podkreśliła, że raport będzie obszerny, ponieważ komisja podeszła „bardzo szeroko do kwestii Pegasusa".

- Będziemy przedstawiać kwestie finansowania i tego, że sfinansowano zakup Pegasusa niezgodnie z prawem. Zajmiemy się brakiem akredytacji, ponieważ system, mimo że powinien być akredytowany, nie został akredytowany, co za tym idzie (...) materiały pozyskiwane przy okazji stosowania Pegasusa mogły trafiać do obcego wywiadu. I to jest narażenie na niebezpieczeństwo zarówno polskich służb, jak i osób, wobec których system ten był stosowany - tłumaczyła.

I podkreślała, że dwa lata pracy komisji nie należały do łatwych.

- To była komisja, w której musieliśmy zmierzyć się z politykami Prawa i Sprawiedliwości albo z osobami mocno z nimi zaprzyjaźnionymi (...). Postawa tych osób, które odmawiały stawiennictwa, pokazuje, że to była pewna grupa osób, która próbowała sterować państwem. Próbowała zawłaszczać instytucje tak, żeby wykorzystywać je na użytek polityczny - zaznaczyła Sroka.

Komisja śledcza ds. Pegasusa badała legalność, prawidłowość i celowość czynności podejmowanych z wykorzystaniem tego oprogramowania przez rząd, służby specjalne i policję od listopada 2015 do listopada 2023 roku.

Według ustaleń RMF FM prace komisji, która została powołana 17 stycznia 2024 roku kosztowało około 4,5 mln zł. Na sumę złożyły się: 3,1 mln zł wydane na doradztwo i ekspertyzy oraz ok. 1,4 mln zł na obsługę prac bieżących, w tym wynagrodzenia asystentów posłów zasiadających w komisji.

Mętne tłumaczenia

O systemie szpiegowskim Pegasus opinia publiczna usłyszała pod koniec grudnia 2021 roku. To wtedy amerykańska agencja prasowa Associated Press powołując się na ustalenia działającej przy Uniwersytecie w Toronto grupy Citizen Lab podała, że za pomocą opracowanego przez izraelską spółkę NSO Group oprogramowania Pegasus inwigilowany był senator KO Krzysztof Brejza, adwokat Roman Giertych i prokurator Ewa Wrzosek. Amnesty International poinformowała, że niezależnie od grupy Citizen Lab potwierdziła, iż „potężne oprogramowanie szpiegowskie izraelskiej firmy NSO Group" zostało użyte do zhakowania senatora Brejzy, gdy prowadził kampanię wyborczą opozycji w wyborach parlamentarnych w 2019 roku.

Na początku politycy ówczesnej Zjednoczonej Prawicy zaprzeczali tym doniesieniom. Wiceszef MON Wojciech Skurkiewicz zapewniał, że polskie służby nie są wyposażone w ten system szpiegowski. Michał Woś, wiceminister sprawiedliwości, twierdził, że w ogóle nie wie, czym jest Pegasus.

„To #pegasus który kupiłem w latach 90. Tyle warte są kapiszony Wyborczej. Odgrzewany kotlet. Opisana dotacja była omawiana w Sejmie i mediach 4 lata temu. Fundusz Sprawiedliwości ma ustawowy obowiązek finansować zwalczanie przestępczości - by łamiący prawo nie spali spokojnie" – pisał drwiąco w mediach społecznościowych Woś.

WYPOWIEDŹ KACZYŃSKIEGO ZMIENIŁA NARRACJĘ PIS I W NIE NAJLEPSZYM ŚWIETLE POSTAWIŁA WSZYSTKICH TYCH, KTÓRZY KŁAMALI W SPRAWIE PEGASUSA

Tymczasem, jak ustaliła „Gazeta Wyborcza" 15 września 2017 roku na posiedzeniu sejmowej komisji finansów publicznych jej członkowie zajęli się, między innymi „zaopiniowaniem wniosku ministra sprawiedliwości w sprawie zmian w planie finansowym Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej na 2017 rok". Dzięki tym zmianom CBA miało dostać 25 mln zł na zakup Pegasusa. Posłowie nie wiedzieli jednak, że chodzi o system szpiegowski. Wniosek na komisji przedstawiał nie kto inny, a wiceminister sprawiedliwości Michał Woś.

Ryszard Terlecki, wicemarszałek Sejmu i szef klubu PiS, też dość powściągliwe wypowiadał się na temat Pegasusa.

- Jeżeli to nie jest bajka, jeżeli był rzeczywiście taki fakt korzystania z podsłuchu, to oczywiście trzeba się zwrócić do sądu, który wydał zgodę na to. To nie jest nic zdrożnego wyposażyć służby w odpowiedni sprzęt – stwierdził Ryszard Terlecki.

Premier Mateusz Morawiecki w kontekście Pegasusa mówił o fake newsach i obcych służbach, które mogły inwigilować senatora Brejzę.

Zbigniew Ziobro, minister sprawiedliwości sięgnął do mitologii.

- Myślę, że problem Pegasusa podniósł w swych wypowiedziach pan (mec.) Roman Giertych. (...) Tak się zastanawiam, jaki jest tego powód. Może chodzi o konia, który ma skrzydła i lata - stwierdził.

Potem, wobec oczywistych faktów, politycy Zjednoczonej Prawicy musieli przyznać, że taki system był na użytku władzy. Miał służyć do inwigilowania najgroźniejszych przestępców, okazało się jednak, że inwigilowani nim byli prawnicy, politycy, samorządowcy – osoby niewygodne dla rządzących. Choć przedstawiciele ówczesnego obozu władzy cały czas temu zaprzeczali.

- Opowieści o rzekomych tysiącach sprawdzanych telefonów są całkowicie pozbawione związku z rzeczywistością. Ich autorzy wykorzystują fakt, że osoby mające o tym realną wiedzę nie mogą nic o tym powiedzieć, są związane tajemnicą służbową. Mogę zatem tylko podkreślić: opowieści opozycji o użyciu Pegasusa w celach politycznych to całkowite bzdury - zapewnił w wywiadzie dla tygodnika „Sieci" prezes PiS, Jarosław Kaczyński. - Przegrali, bo przegrali, nie powinni dziś szukać takich usprawiedliwień. Te wszystkie opowieści pana Brejzy są puste, nic takiego nie miało miejsca. Przypominam, że on sam pojawia się w sprawie inowrocławskiej w poważnym kontekście, jest tam podejrzenie poważnych przestępstw. Z wyborami nie miało to nic wspólnego - dodał jeszcze.

Wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego zmieniła narracje partii rządzącej i w nie najlepszym świetle postawiła wszystkich tych, którzy kłamali w sprawie Pegasusa. Ówczesny minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, jeszcze tego samego dnia, w którym ukazały się fragmenty wywiadu Jarosław Kaczyńskiego z tygodnikiem „Sieci" na specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej przyznał, że Pegasus jest w posiadaniu polskich służb.

Politycy Zjednoczonej Prawicy podkreślali jednak, że służby na każde użycie metod kontroli operacyjnej w Polsce uzyskują zgodę sądu.

Ówczesny rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych Stanisław Żaryn opublikował nawet wideo, na którym tłumaczył te kwestie.

– W Polsce kontrola operacyjna jest prowadzona w uzasadnionych i opisanych prawem przypadkach, po uzyskaniu zgody Prokuratora Generalnego i wydaniu stosownego postanowienia przez sąd – zapewniał dodając, że „każde użycie metod kontroli operacyjnej uzyskuje wymagane prawem zgody, w tym kluczową zgodę sądu".

– Polskie służby działają zgodnie z prawem. Sugestie, że służby wykorzystują metody pracy operacyjnej do walki politycznej są nieprawdziwe – stwierdził.

Tyle tylko, że we wniosku do sądu o zgodę na kontrolę nie podaje się rodzaju sprzętu, którego chce się użyć. Wydając

eprasa.pl 22d88d998a

zgodę na inwigilację, sądy nie wiedzą i nie żądają podania, czy ktoś będzie podsłuchiwany Pegasusem czy innym sprzętem służącym do kontroli operacyjnej. Wielu prawników, ale też byłych oficerów służb specjalnych podkreślało także, że w ustawowych granicach kontroli operacyjnej nie mieści się wykorzystywanie oprogramowania Pegasus. Pegasus jest bowiem narzędziem szpiegowskim umożliwiającym totalną kontrolę nad zainfekowanym urządzeniem, przejmuje właściwie całą jego zawartości: zdjęcia, nagrania wideo, e-maile, SMS-y, listę kontaktów. Pegasus śledzeni lokację smartforna, nagrywa jego otoczenie w wersji audio oraz wideo, podsłuchuje szyfrowaną transmisji dźwięku oraz odczytuje zaszyfrowane wiadomości z różnorodnych aplikacji na urządzeniu. Umożliwia nieograniczone śledzenie w czasie rzeczywistym lokacji aparatu w czasie prowadzonej kontroli, pozwala też na zainfekowanie telefonu oprogramowaniem inwazyjnym.



FOT. ADAM JANKOWSKI

Raport miał być gotowy w marcu, potem w kwietniu, wreszcie maju, wszystko przez niejawną część dokumentu

Ziobro dumy

Powołanie sejmowej komisji, która miałby wyjaśnić jak to z Pegausem było, wydawało się oczywiste. Stawiło się przed nią wielu polityków, w tym prezes Kaczyński, i funkcjonariuszy służ. Najwięcej emocji wzbudziło jednak przesłuchanie Zbigniewa Ziobry, który skutecznie unikał spotkania z członkami komisji. Wystarczy wspomnieć, że udało się go przed nią doprowadzić dopiero za dziewiątym razem. Podczas przesłuchania Ziobro zapytany o zakup Pegasusa stwierdził, że był jego inicjatorem, a bezpośrednio za sprawę odpowiadał wiceminister Michał Woś.

- Jestem bardzo rad, że podjął taką decyzję. (...) Nie wnikałem w szczegóły działania tego oprogramowania, bo się na tym nie znam. Po uzyskaniu wiedzy z różnych źródeł, że jest brak w posiadaniu takich narzędzi walki z najgroźniejszą przestępczością, podjąłem starania, żeby polskie organy nie były w tyle za przestępstwami - podkreślił Zbigniew Ziobro.

Czy to on indywidualnie podejmował decyzję przekazania 25 milionów złotych z Funduszu Sprawiedliwości do CBA na zakup Pegasusa?

- Potwierdzam prawdziwość zeznania pana ministra Michała Wosia. On podejmował już te decyzje na poziomie konkretnych rozstrzygnięć - odpowiedział Ziobro.

Dopytany, czy to on wydawał polecenia Wosiowi w tej sprawie, były szef MS ocenił, że „gdyby wydał polecenie, to on by podjął decyzję".

- Skoro on podjął decyzję, to znaczy, że nie było mojego polecenia - dodał.

Potem było o tym, jak bardzo przysłużył się Pegasus. Ziobro stwierdził, że w 2020 roku pomógł chociażby w zatrzymaniu Sławomira Nowaka, byłego polityka Platformy Obywatelskiej, w sprawie korupcji.

- W zakupie Pegasusa miałem swój udział. I jestem z tego dumny. Do takich spraw, do wykrywania międzynarodowych szajek był on stosowany - podkreślił polityk.

Przewodnicząca komisji Magdalena Sroka pytała Ziobrę, czy ówczesny szef CBA Ernest Bejda informował go o negatywnej opinii Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego dotyczącej systemu Pegasus. Były szef MS stwierdził, że pierwotne uwagi ABW wynikały z braku dostępu do wszystkich informacji.

Sroka pytała dalej, czy Ziobro wiedział o negatywnej opinii policji w sprawie legalności systemu Pegasus. Ziobro odparł, że wiedział o dyskusjach, które ostatecznie skończyły się pozytywnym zaopiniowaniem. Stwierdził, że jedna negatywna opinia do niego dotarła, ale nie wie dokładnie skąd.

Po zeznaniach Ziobry w sieci zawrzało.

„Przypomnijmy. Ziobro ucieka przed pytaniami o inwigilację opozycji politycznej, dziennikarzy, adwokatów, prokuratorów i innych, którzy byli krytykami rządu PiS. Pegasusem kontrolowali wybory w 2019. To była zbrodnia na demokracji. Musi być kara!" - oceniła europosłanka KO Kamila Gasiuk-Pihowicz.

Roman Giertych stwierdził: „Fajnie, że Ziobro się przyznał do wydania polecenia zakupu Pegasusa. Czas na zarzuty o sprawstwo kierownicze. Przyznanie się jest królową dowodów".

Wiadomo, jak potoczyły się potem losy Zbigniewa Ziobry. Przed wymiarem sprawiedliwości, którym do niedawna kierował uciekł na Węgry, potem, kiedy Viktor Orban przegrał wybory, do Stanów Zjednoczonych.

Woś bagatelizuje sprawę

W marciu 2024 roku przed komisja stawił się Michał Woś, czyli osoba, która na posiedzeniu sejmowej komisji finansów publicznych przedstawiła wniosek o przekazanie CBA mln zł na zakup Pegasusa.

- Państwo polskie było głuche i ślepe na działania kryminalistów, którzy przeszli ze zwykłych telefonów, zwykłych smsów na aplikacje na swoich smartfonach i zaczęli komunikować się, organizować działalność przestępczą - zaczął Woś i wyliczał powody, dla których konieczne było zakupienie przez służby nowoczesnego systemu kontroli inwigilacji przestępców.

Pytany, kto podjął decyzję o przekazaniu środków z Funduszu Sprawiedliwości do CBA, Woś odparł, że informacje te są niejawne. Sroka sprostowała, że dokument ten nie jest objęty klauzulą. Wzruszenie ramionami.

Taktyka Wosia przed komisją była jasna: bagatelizowanie sprawy Pegasusa i zrzucanie odpowiedzialności za nią z resortu sprawiedliwości, siebie i Zbigniewa Ziobry.

- Nie jest prawdą, że Woś i Ziobro kupili Pegasusa. Nie jest prawdą, że MS kupiło Pegasusa. My zgodnie z procedurą przekazaliśmy dotację dla CBA, co odbywało się w 100 proc. zgodnie z prawem, wbrew narracji politycznej, którą państwo przyjęli i, którą wmawiacie opinii publicznej, żeby wywołać ferment, jakoby miało się dziać coś niedobrego - opowiadał przed komisją Woś.

Prokuratorskie zarzuty związane z przekazaniem 25 mln zł ze środków Funduszu Sprawiedliwości na zakup oprogramowania Pegasus dla CBA Woś usłyszał w sierpniu 2024 roku. Pod koniec września prokurator przedstawił mu postanowienie o zmianie zarzutów, a zmiana polegała na uzupełnieniu opisu czynu oraz na częściowej modyfikacji kwalifikacji prawnej. Prokuratura Krajowa informowała wówczas, że przekroczenie uprawnień przez Wosia polegać miało na zawarciu 29 września 2017 roku z szefem CBA umowy o przekazanie tej instytucji środków z FS w kwocie 25 mln zł na zakup „środków techniki specjalnej" - pomimo wiedzy, że CBA nie spełniało warunków do uzyskania takiego wsparcia finansowego. Ponadto obejmowało też, zdaniem prokuratury, wydanie polecenia dokonania wypłaty przez FS na rzecz CBA środków pieniężnych 25 mln zł w związku z realizacją tej umowy.

Podsłuchiwali polityków

Co jednak najważniejsze, już podczas trwania komisji stało się jasne, że systemem Pegasus nie byli podsłuchiwani tylko przestępcy, ale politycy, prokuratorzy, samorządowcy, ludzie niewygodni dla ówczesnej władzy. Potem wyszło na jaw, że Pegasusa używano także przeciw „swoi", czyli politykom Zjednoczonej Prawicy, pewnie na użytek wewnętrznych rozgrywek.

Zeznania składane przed komisją przez Krzysztofa Brejzę, Ewę Wrzosek, Jacka Karnowskiego, czy sędzinę Beatę Morawiec były porażające. Uświadamiały, że właściwie każdy, jeśli stawał się niewygodny dla rządzących, mógł być inwigilowany nie tylko na ulicy, ale w zaciszu własnej sypialni.

Kiedy sprawa ujrzała światło dzienne, „The Washington Post" pokusił się o porównanie sytuacji w Polsce do afery Watergate, która zakończyła prezydenturę Richarda Nixona. Zjednoczona Prawica oddała władzę, bo choć PiS wygrał wybory nie potrafił stworzyć rządu. Raport komisji ds. Pegasusa pewnie jeszcze raz, czarno na białym, pokaże jak tę władzę sprawował i jak ją wykorzystywał w politycznej walce.

REKLAMA 0111461412



eprasa.pl 22d88d998a

MARTYNA WOJCIECHOWSKA: ZNACZNIE TRUDNIEJ ZEJŚĆ ZE SZCZYTU NIŻ NA NIEGO WEJŚĆ

Po 20 latach wraca do historii, którą opowiedziała w książce „Przesunąć horyzont". Dziś Martyna Wojciechowska mówi nie tylko o Evereście, ale też o traumie, macierzyństwie, zdrowiu psychicznym i cenie bycia kobietą, która „zawsze daje sobie radę".

Anita Czupryn

Dwadzieścia lat temu zdobyłaś Mount Everest i napisałaś o tym książkę „Przesunąć horyzont". Teraz wydałaś „Przesunąć horyzont. 20 lat później". Czy to wciąż ta sama historia?
Fakty są niezmienne. Zdobyłam Mount Everest 18 maja 2006 roku.

O godzinie 9.02.
Dokładnie. Natomiast dzisiaj, z perspektywy czasu, całą tę historię widzę już inaczej. Wiem, że tak naprawdę nie chodziło o zdobycie Everestu, choć tym kończyła się książka, którą napisałam 20 lat temu, „Przesunąć horyzont". Przez ten czas dowiedziałam się, że możemy mieć w życiu wiele Everestów. Że wiele razy możemy przesuwać swoje horyzonty. Dowiedziałam się też, że Everest tak naprawdę nie jest najwyższą górą na świecie i że znacznie trudniej jest z tego szczytu zejść, niż na niego wejść. I o tym chciałam opowiedzieć w tej książce. O tym, jak dzisiaj widzę tamte wydarzenia, co mnie ukształtowało, a także o tym, co doprowadziło do tego, że miałam w sobie dość siły i odwagi, żeby w jednym z najtrudniejszych momentów mojego życia podjąć takie wyzwanie.

W książce pokazujesz drogę, która doprowadziła Cię do Everestu. Zaczęło się od wypadku na Islandii, w którym zginął Twój operator, Rafał Łukaszewicz. Co bardziej dziś pamiętasz: jego śmierć czy jego życie?
Dużo nas łączyło zawodowo, ale i prywatnie był mi bliskim człowiekiem. Kawałek naszego życia podróżowaliśmy razem, odkrywaliśmy nowe kultury. Ponad 20 lat temu wyglądało to inaczej niż teraz. Podróżowanie nie było tak dostępne, internet nie był tak rozpowszechniony, więc to była prawdziwa przygoda. Mam bardzo dużo wspomnień z Rafałem. Ale przez wiele lat jego śmierć bardziej zdominowała moje wspomnienia i moje postrzeganie wszystkiego, co się z nim wiązało. Dzisiaj mam już gotowość, żeby przejść na drugą stronę. Żeby uczynić z jego śmierci pewien element naszej historii, ale też żeby lepiej pamiętać go jako człowieka. Także przez jego rodzinę i dzieci, z którymi jestem blisko. Zaprzyjaźniłam się z Alicją, żoną Rafała. Jego dzieci poznałam już po jego śmierci. Wówczas bliźniaki Julka i Kuba miały trzy lata, dzisiaj mają 25. Są dorosłymi ludźmi, którym staram się towarzyszyć na różnych etapach ich życia. Czuję się za nich odpowiedzialna, w jakimś sensie myślę o nich jak o moich dzieciach. Zresztą Kuba zawsze mówi do mnie, że jestem drugą mamą. I to jest moja rodzina z wyboru. Więc dzisiaj, z perspektywy tych 20 lat doświadczeń, naszej wspólnej historii z rodziną Rafała, ważniejsze jest dla mnie jego życie. Ale też to, jak on żyje w naszym życiu. Jak jest obecny w życiu nas wszystkich.

Śmierć Rafała zmieniła Twój sposób patrzenia na ludzi i na dziennikarstwo?
Zdecydowanie. Często powtarzam, że tamte wydarzenia bardzo mnie zmieniły, myślę, że byłabym dzisiaj innym człowiekiem. Chciałabym też bardzo jasno powiedzieć, że śmierć, szczególnie w tak młodym wieku, zawsze jest pozbawiona sensu. Szczególnie że Rafał miał wspaniałą rodzinę i bardzo mu tego zazdrościłam. W książce jest taki fragment, kiedy rozmawiamy, a ja mówię o tym, co jeszcze przede mną. Że chcę podróżować, zdobywać świat. A Rafał wraca myślami do swojej rodziny, to dzięki swoim bliskim miał korzenie, był mocno osadzony. To była jego baza. Wtedy tego nie rozumiałam. Nie rozumiałam, jakie to ważne. Po śmierci Rafała przez wiele lat obsesyjnie próbowałam uzasadnić sam fakt, że ja przeżyłam. Potraktowałam to jako zobowiązanie. Jako źródło niezwykłej motywacji, żeby robić dwa razy więcej. Żeby wypełnić moje życie sensem i treścią. Także życie zawodowe. Żeby wykorzystać warsztat dziennikarski do mówienia o rzeczach ważnych. Żeby inspirować ludzi. Żeby robić coś dla innych. Uważałam, że skoro ja ocalałam, a Rafał zginął, to chciałam jakoś spłacić ten dług. Przekułam swoje poczucie bezsilności w działanie.

Wszystko ma swoją cenę. Jaką Ty zapłaciłaś?
Kosztowało mnie to bardzo dużo. Dopiero dzisiaj, z perspektywy czasu, umiem to ocenić. Fakt, że zdecydowałam się wspinać na Mount Everest, był jedynym znanym mi wtedy sposobem przetrwania – ucieczką do przodu. Sięgnęłam po rozwiązania, które stosowałam wcześniej nieświadomie. Kiedy mierzyłam się z dużymi wyzwaniami, zawsze patrzyłam na horyzont i zastanawiałam się, co jest dalej. I miałam odwagę, żeby za ten horyzont ruszać. Wtedy wydawało mi się to jedynym sposobem, żeby utrzymać się na powierzchni, znaleźć motywację, znaleźć w ogóle powody, żeby żyć dalej. Wierzyłam, że Everest będzie takim momentem przejścia. Że po nim wszystko będzie już inaczej. Oczywiście okazało się, że tak nie jest. Miałam jeszcze bardzo dużo pracy do wykonania. Ale wtedy, w tamtym czasie, było mi to po prostu potrzebne. Bardzo potrzebne, żeby przeżyć.

Po wypadku jeszcze mocniej poczułaś odpowiedzialność za ekipę? Za ludzi, z którymi jedziesz w teren, którym ufasz, którzy niosą kamerę, często pozostając niewidzialni?
Zawsze byłam osobą bardzo odpowiedzialną. I zawsze miałam taką skłonność, żeby brać na siebie rolę liderki i odpowiadać za innych. Natomiast po wypadku Rafała bez wątpienia mi się to wyostrzyło.
Od tamtej pory cały czas myślałam kategoriami: co jeszcze mogę przewidzieć, żeby z jednej strony nie doszło do tragedii, a z drugiej, żeby wszyscy byli zaopiekowani..

Włożyłaś sobie na barki ogromny ciężar.
Tak, bo czuję się odpowiedzialna po prostu za wszystko, co dzieje się dookoła, choć niekoniecznie jest to moja odpowiedzialność. To ja wybrałam Rafała do ekipy i już sam ten fakt wydawał mi się rodzajem odpowiedzialności, którą za niego wzięłam. To także był jeden z powodów, dlaczego jego śmierć tak bardzo mnie dotknęła. Osoby, z którymi pracuję, z którymi działam, z którymi coś robię, wybieram w bardzo przemyślany sposób. Robimy rzeczy nie do końca standardowe, oparte na misji, na poczuciu głębokiego sensu. Pracuję oraz współpracuję tylko z takimi ludźmi. Jako młoda osoba zapewne nie przywiązywałam aż tak dużej wagi do tego, kim jest człowiek, z którym pracuję. Jeśli mieliśmy wspólne cele zawodowe, to było dla mnie wystarczające. Natomiast od wielu lat szukam w ludziach czegoś zupełnie innego. Wspólnego fundamentu, wartości, szacunku do świata i do ludzi. Mogę śmiało powiedzieć, że w moim bliskim zawodowym otoczeniu nie ma nikogo, kto nie wyznaje tych samych wartości. Po prostu tak się dobieramy. I kiedy już mam taki zespół, bardzo sobie to cenię. Nie zdobywa się Everestu w pojedynkę. I nie chodzi o to, czy ktoś wchodzi solo, czy nie, bo przecież są takie wejścia na szczyt. Chodzi o to, że zawsze wyrastamy z czegoś. Zawsze jest ktoś, kto daje nam bazę. Zawsze jest ktoś, kto jest dla nas oparciem, nawet jeśli jest na drugim końcu świata, w domu. Tak samo nie zmienia się świata w pojedynkę. To są najważniejsze rzeczy, którymi się kieruję.

Kiedy po 20 latach wróciłaś do swojej książki i czytałaś dawną siebie, co poczułaś?
Zakładałam, że dojdzie do wznowienia tej książki, być może z jakimś epilogiem, który dopełni opowieść. Nie przewidywałam, że napiszę nową książkę na bazie tamtego tekstu. Prawie dwa razy dłuższą. Taką, która będzie tłumaczyła kontekst pewnych wydarzeń i w której na bieżąco, szczerze i uczciwie, z perspektywy kobiety 20 lat starszej, skomentuję to, co wtedy czułam, co dzisiaj o tym myślę i jakie decyzje wówczas podjęłam. To jest bez wątpienia zupełnie inna książka. Szczególnie że dopisałam też wydarzenia, które miały miejsce przez ostatnich 20 lat, już po zdobyciu Everestu. Ale kiedy czytałam tamtą książkę, zobaczyłam, jak bardzo byłam wyczerpana. Jak bardzo potrzebowałam usystematyzowania swoich myśli.

eprasa.pl 22d88d998a

Także wsparcia psychologicznego, po które wówczas nie sięgnęłam. Zrozumiałam też, jak bardzo wtedy w ogóle nie mówiło się o zdrowiu psychicznym.

Piszesz, że w 2006 roku język traumy, żałoby i kryzysu psychicznego był uboższy. Co straciła tamta Martyna przez to, że nie miała tych słów?
Wówczas wydawało mi się, że pracuję coraz więcej, robię coraz więcej i pędzę coraz bardziej, bo właśnie tego potrzebuję. I rzeczywiście, żeby przetrwać, potrzebowałam tego. Ale dzisiaj rozumiem swoje motywy. Ja po prostu bardzo nie chciałam spotkać się z pewnymi emocjami i bardzo nie chciałam pewnych rzeczy nazwać po imieniu. Nie miałam też możliwości sięgnąć po takie wsparcie, bo ponad 20 lat temu naprawdę nie było powszechnie dostępnej takiej wiedzy. Przyznaję, że jestem jedną z tych osób, które kiedyś mówiły, że psychoterapia to jest dzielenie włosa na czworo i po co to komu. Przecież świetnie dam sobie ze wszystkim radę sama. Lepiej lub gorzej próbowałam wcielać to w życie. Dzisiaj wiem, że mogłam zrobić to mądrzej i sięgnąć po pomoc. Mogłam oszczędzić sobie i moim bliskim wiele cierpienia. Mogłam dać sobie szansę, żeby przepracować tę traumę ze wsparciem, i pójść dalej. Z drugiej strony mam poczucie, że ten czas chyba był mi potrzebny. Dlatego dzielę się tym doświadczeniem. Wiem, że książka „Przesunąć horyzont" była dla wielu osób bardzo ważna. Wiem, że wielu osobom pomogła. Pisali do mnie, i mówili mi o tym podczas spotkań.

Ja po przeczytaniu Twojej nowej książce też mogę powiedzieć, że jestem jedną z tych osób.
Takie słowa zawsze mnie wzruszają. Poczułam więc, że może warto o tym opowiedzieć. Że są już inne sposoby, z których można skorzystać, żeby uczynić swoje życie lepszym. Także poczucie odpowiedzialności wobec moich czytelników, wobec moich widzów, poczucie odpowiedzialności wobec drugiego człowieka stoi za tym, że przepisałam tę książkę i opowiedziałam tę historię na nowo.

Pytanie: „Dlaczego przeżyłam?" jeszcze do Ciebie wraca?
To tak bardzo zdeterminowało moje życie przez ponad 20 lat, że skłamałabym, gdybym powiedziała, że po prostu zamknęłam ten rozdział. Dzisiaj widzę to oczywiście inaczej, ale to nie znaczy, że te myśli, te wspomnienia, te flashbacki, które chyba czuć w tej książce, już do mnie nie wracają. One wracają w różnych momentach.


FOT. DAREK ZAŁUSKI

Martyna Wojciechowska: Dla mnie Everest był wyzwaniem, które pozwoliło mi zobaczyć siebie w prawdzie. Jaka jestem

Na przykład kiedy w bazie pod Mount Everestem widzisz rozbity helikopter.
Tak. Są różne wyzwalacze, które to sprawiają Nie wiem, czy dziś albo jutro, wykonując jakąś podstawową czynność, te myśli i wspomnienia do mnie nie wrócą. Tak działa ludzki umysł, Więc chyba cały czas jestem w procesie. I też szczerze o tym mówię.

Czym po 20 latach jest dla Ciebie wyprawa na Mount Everest? Zdobyłaś dach świata jako trzecia i najmłodsza Polka. W książce piszesz o tym z dystansem.
Ten cel, ta motywacja, którą znalazłam wysoko, najwyżej jak się dało, sprawiły, że byłam w stanie przesunąć horyzont. Że byłam w stanie popatrzeć dalej. Czy dzisiaj sięgnęłabym po takie samo narzędzie? Nie wiem. Wtedy chciałam też czuć, że nie wypadam z gry. Góry zdobywałam wcześniej. Chodziłam po górach i kochałam to. Tam czułam się szczęśliwa i spełniona. To jest jakiś rodzaj fizycznego osadzenia się. Więc w górach szukałam ratunku dla siebie. Zdobyłam Mount Everest, a potem kolejne góry w ramach realizacji projektu Korona Ziemi, czyli najwyższych wierzchołków na wszystkich kontynentach. Na tamtym etapie bardzo nie chciałam się zatrzymać. Zatem wtedy Mount Everest bez wątpienia uratował mi życie, ale potem wpadłam w spiralę osiągania, przesuwania kolejnych horyzontów i zdobywania kolejnych Everestów. W książce szczerze mówię też o tym, że po raz kolejny życie uratowało mi macierzyństwo. Kiedy poczułam prawdziwą tęsknotę, kiedy zrozumiałam, co to znaczy bezwarunkowa miłość. Oczywiście nie chcę powiedzieć, że każda kobieta ma być matką. Absolutnie nie. To kwestia wyboru. Ale w moim przypadku zadziałało to tak, że ja się zatrzymałam.

Piszesz, że macierzyństwo to najtrudniejsza podróż bez mapy. Jest też rozdział „Najgorsza matka świata". Kobieta odważna może być podziwiana tylko do momentu, w którym zostaje matką, bo wtedy ta sama odwaga bywa nazywana egoizmem?
Dobrze to ujęłaś. Ale wówczas mnie to zdziwiło. I znów myślę, że to jest dowód kolejnej zmiany, która się dokonała. Osiemnaście lat temu wyjeżdżałam na Antarktydę, żeby wspinać się na kolejny szczyt w ramach projektu Korona Ziemi. Zdecydowałam, że zostawiam Marysię pod opieką jej taty, mojej mamy, mojego taty, czyli dziadków Marysi, i babci Marysi; mnóstwa kochających i wspierających osób. Jednak kiedy pojechałam wspinać się na Antarktydę, nie miałam pojęcia, jak odnaleźć się w tej nowej roli. To jest doświadczenie wielu kobiet. I naprawdę szczerze się tym doświadczeniem dzielę, bo uważam, że gdybyśmy więcej o tym mówiły, byłoby nam po prostu łatwiej. Zostałam nazwana najgorszą matką świata i rozliczona z tego, co zrobiłam. Nie odczytano tego jako próby zawalczenia o siebie, wytrwałości czy także próby ocalenia się w tamtym momencie. Odebrano to jako wyraz największego egoizmu. Nagłówki gazet były bezlitosne. A ja po raz kolejny doświadczyłam depresji, dzisiaj to wiem. Przez wiele lat musiałam potem przekonywać świat, że nie można oceniać matki, żadnej z nas, w ogóle kobiet, a matek szczególnie, w zero-jedynkowy sposób. To było dla mnie bardzo ważne doświadczenie. A dzisiaj ważne jest dla mnie, żeby uczciwie dzielić się z kobietami taką wiedzą: że to jest bardzo trudne - być równolegle mamą, pracować, bo musiałam pracować i zarabiać, realizować jakąś pasję i pozostać w zgodzie ze sobą. Myślę, że w byciu mamą najważniejsze jest dawanie przykładu własną postawą życiową. To była dla mnie niezwykle ważna droga. Cieszę się, że dzisiaj wiele kobiet przychodzi i mówi: „Wiesz, Martyna, wtedy byłam jedną z tych kobiet, które cię oceniły. Jedną z tych, które były oburzone tym, co zrobiłaś. Dzisiaj widzę to zupełnie inaczej".

To piękne, że potrafią to powiedzieć. I że coś się zmienia.
A jednocześnie, jeśli jakaś kobieta, będąc mamą, chce oddać się głównie wychowywaniu dzieci, to też jest okej. To jest wyłącznie kwestia tego, co każda z nas czuje.

Córka nauczyła Cię takiego rodzaju odwagi, którego Everest nie mógł Cię nauczyć?
Córka i bycie jej mamą nauczyły mnie, że nie ma nic ważniejszego niż odpowiedzialność za drugiego człowieka. Nie ma nic ważniejszego niż bezwarunkowa miłość, uczucie więzi i bliskości, Macierzyństwo obudziło we mnie ogromne pokłady wrażliwości, cierpliwości i empatii wobec innych kobiet. I to spowodowało, że również zupełnie zmieniłam ścieżkę zawodową. Dopiero w tym momencie poczułam więź z innymi kobietami. Zauważyłam, jak wiele jest podobieństw między nami w skali całego świata, niezależnie od tego, w jakim zakątku globu się urodziłyśmy, gdzie się wychowujemy, jaką wyznajemy religię i w jakiej kulturze wyrosłyśmy. Zaowocowało to nie tyle programem telewizyjnym „Kobieta na krańcu świata", ile misją mówienia o prawach człowieka, szczególnie o prawach kobiet i prawach dzieci. A to z kolei sprawiło, że stworzyłam fundację. I w tej fundacji w jednym z obszarów, którymi się zajmujemy sięgnęłam do czegoś, co znałam bardzo dobrze, czyli do tematu zdrowia psychicznego. Znałam go z własnego doświadczenia, z obserwacji, ale też z kształcenia się, bo jestem w nieustannym procesie uczenia się od ekspertów i specjalistów, z którymi pracujemy w Fundacji UNAWEZA i w projekcie MŁODE GŁOWY. Mogę powiedzieć, że dopiero na tym etapie mojego życia wszystkie puzzle trafiły na swoje miejsce. Dokładnie tak się teraz czuję.

Chcę zapytać o odwagę, bo z nią jesteś bardzo mocno kojarzona. Czym ona jest dla Ciebie dzisiaj? W książce pokazujesz też koszt bycia tą, która zawsze daje sobie radę.
Myślę, że jest bardzo dużo kobiet, które dają sobie radę, delikatnie mówiąc. Znam wiele bohaterek dnia codziennego. Dają radę. Z partnerem albo bez, czasami walcząc o to, żeby wystarczyło do pierwszego, żeby najlepiej jak potrafią wychować dzieci, żeby cały czas być kapitanką własnego okrętu. I nawet jeśli tak o sobie nie myślą, absolutnie są heroskami. Może nie każda z nich trafia na pierwsze strony gazet i nie każdej historię możemy poznać, ale głęboko wierzę, że jest mnóstwo niesamowicie odważnych kobiet, które nie mówią o sobie w tych kategoriach, bo myślą, że nie miałyby w sobie dość szaleństwa, żeby wspinać się na Mount Everest. Otóż nie każdy musi się wspinać na te prawdziwe Everesty. Wielu z nas zdobywa znacznie wyższe szczyty każdego dnia. To mogą być bardzo różne doświadczenia. Utrata pracy, trudny rozwód, wychowywanie dziecka z niepełnosprawnością, choroba, śmierć kogoś bliskiego. Są sytuacje, które wymagają znacznie więcej odwagi niż zdobycie tego prawdziwego Mount Everestu. Bardzo bym chciała, żeby wszyscy, ale kobiety szczególnie, o tym pamiętały. Oczywiście Everest jest jakimś rodzajem symbolu. Trzeba mieć dużo odwagi, żeby porwać się na coś takiego. Ale dla mnie podjęcie różnych fizycznych wyzwań, jak wspinaczka, głębokie nurkowanie, skakanie ze spadochronem, nigdy nie było aż takim wyzwaniem. Nie wiem, czy to kwestia tego, jak mam zorganizowany mózg…

… czy tego, że po prostu jesteś nieustraszona?
Ale ja też wielu rzeczy się boję i wiele razy się przewróciłam, dosłownie i w przenośni. Wiele razy upadłam na kolana i zastanawiałam się, jak się podnieść. W moich różnych wyzwaniach, życiowych, sportowych i zawodowych, było sporo takich momentów. Nie boję się tych upadków.

W książce piszesz też, że aby traktowano Cię poważniej, musiałaś robić więcej, mocniej, szybciej niż mężczyźni. Przyszedł moment, w którym pomyślałaś: nie chcę już tego kontraktu z patriarchatem?
Ładne zdanie. Tak, nie chcę już kontraktu z patriarchatem. Odbywało się to u mnie w sposób bardzo nieświadomy. Nie umiałam nazwać tego, że jestem feministką, bo w ogóle nie miałam takiego słowa w swoim języku. Kiedy miałam 10 lat, zdecydowałam, że będę wyścigowym kierowcą motocyklowym. Nawet feminatywu na to nie miałam, bo nie wiedziałam, że można być kierowczynią.

Dopiero od niedawna wiemy.
Miałam silną niezgodę na to, ale nieznane były mi sformułowania takie jak patriarchat, równo-

dokończenie na str. 10

eprasa.pl 22d88d998a

Polska
Poniedziałek, 15.06.2026

dokończenie ze str. 9

uprawnienie, wyzwolenie kobiet. Poruszałam się w tym bardzo intuicyjnie. Po prostu czułam, że to nie jest okej, ale czułam się też bardzo sama w tej drodze, bo niewiele było osób, na których mogłabym się wzorować. Obserwowałam moje idolki, takie jak Wanda Rutkiewicz czy Elżbieta Dzikowska. Miałam więc jakieś przykłady ze świata i z Polski, ale czułam, że to bardzo trudna droga. Może tak akurat wyszło, że to ja będę przebijać kolejny szklany sufit?. I tak się stało. Przyznaję też bardzo szczerze, że długo czułam się w tej drodze osamotniona.

Kto bardziej Cię ukształtował: ci, którzy mówili, że „Baba się nie nadaje", czy ci, którzy mówili: „Jak nie ty, to kto"?
Akurat dla mnie mówienie mi, że coś jest niemożliwe albo że jako baba się nie nadaję, potrafi wyzwolić dodatkową energię. Więc takie bycie w kontrze na pewno było mi potrzebne i chyba wciąż potrafię z tego czerpać. Natomiast nie ukrywam też, że wielkim wsparciem byli dla mnie rodzice. Wspierali mnie, nawet jeśli nie rozumieli moich wyborów. Stali za mną murem. Piszę o tym w książce „Przesunąć horyzont. 20 lat później". To jest rodzaj liny poręczowej, którą się ma. Nie trzeba z niej korzystać, ale zawsze wiesz, że ona jest, a to daje dużo odwagi do działania. O tym też mówimy w projekcie MŁODE GŁOWY. Otwieramy rozmowę o zdrowiu psychicznym i o tym, jak ważni są dorośli w życiu dziecka. Jeśli zbudują dobry fundament, dziecko, niezależnie od przeciwności losu, ma szansę i ma jakieś kompetencje, żeby po prostu lepiej poradzić sobie z różnymi wyzwaniami. Dla mnie bez wątpienia rodzice byli kimś takim. Mama wspierała mnie bardziej, tata częściej stawiał mi wyzwania i pewnie przez jakiś czas żyliśmy w konfliktach, które też mnie ukształtowały. Natomiast to jest do dzisiaj ogromna siła, którą mam. Naprawdę bezwarunkowa miłość i wiara we mnie. Każdemu tego życzę. Wiem, że niestety nie każdy ma takie szczęście w życiu Dlatego mówiąc o młodym pokoleniu, o kryzysie zdrowia psychicznego, często wracam do tego, jak ważni są mądrzy, dojrzali, odpowiedzialni dorośli. Czasem to nie jest rodzic. Czasem rodzic staje się źródłem jeszcze większego cierpienia dla młodego człowieka. Tak bywa. Ale to może być ciocia, sąsiadka, trener, jakakolwiek odpowiedzialna dorosła osoba, która pozwoli młodemu człowiekowi mocniej stanąć na nogach i rozwinąć skrzydła.

Mount Everest jest jeszcze górą, którą się zdobywa, czy dzisiaj jest lustrem, w którym widać własne ambicje, ego i prawdę o sobie?
Dla mnie Everest był wyzwaniem, które pozwoliło mi zobaczyć siebie w prawdzie. Jaka jestem. Jakich wyborów dokonuję w sytuacjach skrajnego zmęczenia. Jaką jestem partnerką w górach, a to przekłada się też na życie. Jakie wartości wyznaję.


FOT. MARTA WOJTAL

Martyna Wojciechowska: Nie ma idealnych ludzi, idealnych wzorców do naśladowania i idealnych bohaterów

Jaki obraz siebie wtedy zobaczyłaś?
Byłam zadowolona z tego, co zobaczyłam. Bardzo mnie cieszy, że mam taki kręgosłup moralny, który pozwala mi wierzyć, że w sytuacjach ostatecznych wiem, jakich dokonać wyborów, żeby pójść drogą godności, odpowiedzialności za drugiego człowieka i lojalności. I z tego jestem bardzo dumna. Na pewno podejście do wspinaczki na Mount Everest bardzo się zmieniło. Dzisiaj taka wyprawa jak moja 20 lat temu, nie mówiąc już o wyprawie Krzysztofa Wielickiego i Leszka Cichego w 1980 roku, kiedy jako pierwsi ludzie na świecie wspięli się na Everest zimą, jest już niemożliwa. Ale myślę, że dzisiaj Everest dla wielu stał się pewnym lustrem. Na pewno nadal nie jest szczytem, na który wejdzie każdy. To trzeba jasno powiedzieć. Niezależnie od tego, jak bardzo jest dziś skomercjalizowany i jak wiele rzeczy można sobie ułatwić, to nie jest tak, że każdy wejdzie na Mount Everest.. Bardziej zasmuca mnie to, jakie niektórzy ludzie mają motywy, żeby na ten Everest wchodzić. Bo jeśli to rzeczywiście ma być droga do samopoznania i jakiś rodzaj symbolu, z którym możesz się zmierzyć, i którym możesz zainspirować innych, to jest zupełnie co innego niż wspinanie się na Mount Everest po to, żeby zbudować swoją wartość w oczach innych, powiększyć swoje ego i opowiedzieć o tym światu zdjęciem albo filmem na Instagramie czy w ogóle w social mediach. Bardzo mnie ciekawią motywy, które stoją za ludźmi. Nie wyobrażam sobie dzisiaj siebie wspinającej się na Mount Everest w tej kolejce i przepychającej się przez tłum ludzi. Ostatnio nawet padł rekord. Największa liczba wejść w ciągu jednego dnia. 274 osoby stanęły na wierzchołku. Nie mogę tego objąć rozumem. Ale jeszcze bardziej przeraża mnie to, co dzieje się już po realizacji tego celu. Bo jednak ludzi poznajemy nie po tym, jak zaczynają, ale po tym, jak kończą. To, że bezrefleksyjnie zostawiają po sobie sterty śmieci, odchodów i nie zadają sobie nawet trudu, żeby zadbać o tę górę, żeby zostawić to miejsce jak najmniej naruszone – to mnie przeraża.

Co czujesz, kiedy słyszysz, że inspirujesz ludzi albo że ich uratowałaś?
To, co staram się robić, polega na dawaniu przykładu tym, jak żyję. Nie używam wielkich słów, które wymyśliłam na potrzeby prezentacji czy spotkań z ludźmi. Nie posługuję się wyłącznie pięknymi zdaniami. Mówię o moim osobistym doświadczeniu i również o konsekwencjach moich decyzji. O tym, jaką cenę trzeba za nie zapłacić. To jest uczciwe wobec ludzi. Inspiracja w moim rozumieniu to patrzenie na czyjąś drogę i czyjąś postawę, która może być dla mnie jakimś wyznacznikiem, drogowskazem. Nie po to, żeby robić dokładnie to samo, ale żeby zobaczyć, jaką drogę można w życiu wybrać. Zawsze mnie to onieśmiela, kiedy spotykam ludzi, którzy nie wiedzą, że sami są bohaterami, a mnie nazywają bohaterką. Czasem budzi to we mnie zawstydzenie. Myślę wtedy: kto tu dla kogo jest bohaterem i inspiracją? Na premierze mojej książki była Angelika Chrapkiewicz-Gądek, która porusza się na wózku. Była rozmówczynią w moim podcaście „Dalej", znam ją od wielu lat. Wspina się w górach, mimo wózka. Oczywiście ze wsparciem wielu osób, ale droga, którą pokonuje, jest dla mnie źródłem wielkiej inspiracji. A to ona mówi o mnie jako o inspiracji. Może właśnie na tym to polega. Że możemy się inspirować nawzajem. Nie ma idealnych ludzi, idealnych wzorców do naśladowania i idealnych bohaterów. Każdego dnia, od każdej napotkanej osoby, czy to bohaterek programu „Kobieta na krańcu świata", czy ludzi, których spotykam na różnych wydarzeniach, choćby z okazji premiery książki, zbieram wiele historii. I tak bardzo się nimi inspiruję, że myślę, że to jest droga, którą warto podążać, żeby żyć dobrze i żeby wzrastać.

Co jest Ci bliższe po tych 20 latach: chęć przesuwania horyzontu czy prawo do powiedzenia: „Już dalej nie muszę"?
Wierzę w przesuwanie horyzontu. I to mi się w ogóle nie nudzi. To jest rodzaj dziecięcej ciekawości, która towarzyszyła mi, kiedy stałam przed największym wzniesieniem, jaki widziałam wówczas w okolicy mojego domu. Na początku książki piszę o tym, jak jako dziecko uparłam się, że niezależnie od konsekwencji koniecznie wdrapię się na tę górę. Pamiętam wiele takich momentów z dzieciństwa czy wczesnego okresu dojrzewania, kiedy byłam po prostu ciekawa. Chciałabym, żeby każdy z nas miał w sobie ten rodzaj emocji, to dziecko, które jest ciekawe, ekscytuje się, chce zobaczyć, co jest dalej, co jest głębiej.. Cały czas mam w sobie radość i ciekawość, żeby patrząc na horyzont, nie traktować go jak czegoś skończonego, tylko zastanawiać się: a co jest tam dalej? Właśnie wyjeżdżam z ekipą programu „Kobieta na krańcu świata" do Mongolii. To będzie moja trzecia wizyta w tym kraju. Cieszę się, bo wiem, że każdego dnia, stojąc tam na pustyni Gobi, będę czuła absolutnie tę samą ekscytację co lata temu, kiedy jako młoda osoba ruszałam pierwszy raz na wycieczkę za miasto, z Warszawy. To się nie kończy, jest we mnie bardzo głęboko coś takiego, co najchętniej bym pomnażała i rozdawała innym. A może raczej: przypominała im, że każdy ma w sobie tę ciekawość, tylko z różnych powodów ją zagłuszyliśmy.

Kiedy jedziesz w takie miejsce i stajesz przed ludźmi, dla których nie jesteś ani zdobywczynią Everestu, ani uczestniczką rajdu Dakar, ani osobą z pierwszych stron gazet, to kim wtedy jesteś?
Kiedy jadę na kraniec świata, dla kobiety mieszkającej daleko od mediów w Polsce nie ma żadnego znaczenia, czy zdobyłam Mount Everest. To jest dla niej zupełnie abstrakcyjne. O rajdzie Dakar pewnie nawet nie słyszała. Dla tych osób to w ogóle nie ma żadnego znaczenia. Można więc powiedzieć, że startuję z czystą kartą. I to, jaką zbuduję relację z tym człowiekiem w ciągu najbliższych dni, a być może na całe życie, bo często te relacje trwają i właściwie się nie kończą, jest dla mnie dowodem, że to nie osiągnięcia stanowią o tym, jacy jesteśmy. Ważniejsze jest to, jakiej próby człowiekiem jesteśmy. Czy potrafimy słuchać i słyszeć.

Jest w Tobie jeszcze potrzeba kolejnego wyzwania? Chciałabyś coś sobie albo światu udowodnić?
Nie robię tego, żeby sobie coś udowodnić, bo ja już wiem, na co mnie stać. Taki rodzaj myślenia jest mi już obcy. Już tego nie potrzebuję. Mam różne rzeczy, które planuję, i takie, o których marzę. Bo plany i marzenia to są różne rzeczy. Ale sama myśl o nich, o realizacji tych wyzwań, sprawia mi wielką radość i szalenie mnie ekscytuje. Nie myślę już w kategoriach udowadniania czegoś sobie albo innym. Są po prostu takie cele, plany i marzenia, które sprawiają, że mam motyle w brzuchu. I że znowu chce mi się przesunąć jakiś kolejny horyzont.

KSIĄŻKA



Martyna Wojciechowska „Przesunąć horyzont. 20 lat później", wyd. Agora

eprasa.pl 22d88d998a

W MILEJCZYCACH DZIEJĄ SIĘ CUDA

Niewielkie Milejczyce w powiecie siemiatyckim nawiedzane są przez pątników z całej Polski. Słynący łaskami obraz Najświętszego Serca Dobrego Pasterza przyciąga szukających uzdrowienia z choroby, pomocy w trudnych sytuacjach czy nawróceń. Do parafialnej księgi cudów wciąż zgłaszane są nowe świadectwa

Martyna Jurkowska

Przez trzy tygodnie modliłem się o dar poczęcia dla swoich znajomych: Marty i Przemka. Po jakimś czasie przyszła do mnie ich mama ze łzami w oczach z informacją, że Marta jest w ciąży. Siedem lat się starali, lekarze im mówili, że nie mogą mieć dzieci... Były też takie chwile, że o godzinie 12 w nocy odprawiałem msze święte i po nich była łaska. Kiedyś pół godziny po powrocie z takiej Eucharystii miałem telefon, że Blanka – dziewczynka leżąca w inkubatorze z zapaleniem płuc, o której lekarze mówili, że nie przeżyje trzech godzin, jest już na rękach matki, zdrowa. To są naprawdę niesamowite świadectwa – mówi ks. Jarosław Rosłon, proboszcz parafii pw. św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Milejczycach.

To jedne z wielu świadectw cudów i uzdrowień, do których dochodzi w Milejczycach. W niewielkim, drewnianym kościółku niemal każdego dnia dzieją się cuda. Opowiadał o nich podczas konferencji naukowej – związanej z łaskami słynącym obrazem Serca Pana Jezusa w Milejczycach, która odbyła się w Wyższym Seminarium Duchownym w Drohiczynie – właśnie proboszcz ks. Jarosław Rosłon.

Świadectwa cudów w parafialnej księdze

– W listopadzie byłem w Stanach Zjednoczonych. Głosiłem tam Serce Jezusa, rozdawałem obrazki. Po powrocie do Milejczyc zadzwoniła do mnie pani Ewa, którą poznałem podczas tego pobytu. I ona mi powiedziała: „Proszę księdza, ten obraz jest niesamowity". I opowiedziała mi historię 50-letniego Patryka, który przebywał wówczas w hospicjum i bardzo cierpiał, był umierający. On był Włochem, całe życie we włoskiej mafii. Ewa dała mu obrazek z Milejczyc i opowiedziała mu o nim. I ten Patryk rozpłakał się wtedy jak dziecko i poprosił o kapłana, a ostatni raz u spowiedzi był przed I Komunią Świętą, czterdzieści lat żył bez Boga. I kiedy następnego dnia odwiedził go kapłan, Patryk zaczął zdrowieć. Wcześniej był sparaliżowany, karmiony sondą, a nagle zaczął samodzielnie jeść, wziął prysznic... Lekarze byli w szoku – opowiada proboszcz.

Po trzech tygodniach Patryk odszedł. Ale, jak podkreśla ks. Jarosław Rosłon, w godności, bo można sobie tylko wyobrazić jak wyglądało jego grzeszne życie w mafii.

– To naprawdę niesamowite, jak serce Jezusa działa na ludzi. Po tym jednym przykładzie, po tym świadectwie, w Nowym Jorku i okolicach trwa peregrynacja 30 obrazów i zapisy są już na kolejny rok. Taki jest głód Serca Bożego – opowiada proboszcz.

Historie łask, uzdrowień z choroby, pomocy w trudnych sytuacjach, uzdrowień duchowych, nawróceń, szczególnych doświadczeń obecności Boga – do parafialnej księgi cudów w Milejczycach ciągle zgłaszane są nowe świadectwa. Tylko w ciągu ostatnich trzech lat przybyło ich ponad trzydzieści.

– O parafii w Milejczycach dowiedzieliśmy się od nauczycielki w Warszawie. Wiedząc, że jesteśmy wierzący, opowiedziała nam o tym miejscu – pisze w jednym ze świadectw, które można znaleźć na stronie parafii, pani Natalia.

W niedzielę 3 maja br. przyjechała do Milejczyc z córkami: 9-letnią Edytką i drugą 4-letnią. Edytka przestała słyszeć, jak miała 2,5 roczku, w wieku 6 lat odzyskała słuch. Od 4. roku życia ma stwierdzony autyzm.

– Kiedy tylko wysiadłam z auta, zaczęły mi lecieć łzy. Leciały mi przez cały pobyt, co było dla mnie niezwykłym przeżyciem i zjawiskiem, bo czułam tam błogi spokój. Tam czułam się jak w domu (...) Wierzę, że właśnie tam poczułam, ja i moja rodzina, prawdziwe połączenie z Niebem. Tak jakby ktoś oczyścił całe moje serce i umysł. Jakby przytulając mnie mówił: To, co przeszliście, było wam potrzebne, ale to już koniec – pisze pani Natalia.

Kult zawieszony na czterdzieści lat

Wiernych i pątników do Milejczyc przyciąga obraz Najświętszego Serca Pana Jezusa. Wizerunek ten pochodzi z przełomu XVII i XVIII wieku i był inspirowany malarstwem hiszpańskim. Obraz przedstawia Jezusa jako Dobrego Pasterza – niosącego na ramionach zmęczoną owcę, a w centralnym miejscu znajduje się czerwone serce w cierniach.

Niestety, pełna historia milejczyckiego wizerunku Jezusa jest trudna do ustalenia ze względu na fakt, że wiele historycznych dokumentów zaginęło bądź w ogóle nie są dostępne. Co ciekawe, ślady kultu Serca Jezusowego w Milejczycach były już obecne w ostatnich dekadach XVIII wieku. Żarliwy kult stał się między innymi przyczyną tego, że władze carskie zamknęły parafię rzymskokatolicką, a kościół został zamieniony na cerkiew prawosławną.

– Prawdopodobnie to było przyczyną, że w 1868 roku parafia została zlikwidowana i zamieniona na cerkiew – mówi ks. dr Zenon Czumaj, dyrektor Muzeum i Archiwum Diecezjalnego w Drohiczynie. – Pojawił się jednak problem, bo w przepisach liturgicznych cerkwi prawosławnej nie wolno przedstawiać Serca Jezusowego, zostało ono więc zakryte. Są różne przekazy ustne, że chusta zakrywająca Serce Jezusa i całą postać była założona właśnie po to, żeby uchronić obraz przed całkowitym usunięciem ze świątyni. Niezasłonięte zostały tylko twarz Jezusa, twarz baranka i prawdopodobnie dłonie Zbawiciela. Ale jaka by nie była motywacja tego czynu, to faktem jest, że człowiek, który zasłonił Serce Jezusa – miał to być starosta czy jeden z możniejszych milejczyckich gospodarzy – w którymś momencie zaczął doznawać nieszczęść. Jego rodzina wymarła, on sam popadł w pijaństwo i stracił wzrok. Później odczytywał to jako karę za swój uczynek.

Do katolików – wiernych parafii w Milejczycach – świątynia wróciła w 1917 roku. Kościół z wizerunkiem Dobrego Pasterza był tłumnie nawiedzany zarówno przez katolików, jak i prawosławnych. Do tego stopnia, że przy parafii zbudowano ołtarz polowy, bo tylu wiernych przybywało tutaj na modlitwy. Trwało to aż do lat 70. XX wieku. Wtedy wszystko się zmieniło.

– Władze komunistyczne zaczęły siać intrygi, chciano skłócić miejscową społeczność i zaczęto puszczać pogłoski, że obraz będzie przeniesiony z kościoła do cerkwi. Do głosu doszły emocje i żeby niepotrzebnie nie wprowadzać atmosfery wojny wśród lokalnej społeczności, wyciszono niejako kult. I w efekcie na jakieś czterdzieści lat ten kult przycichł – mówi ks. dr Zenon Czumaj.

Odrodził się dopiero kilka lat temu, gdy w 2019 roku obraz wrócił z renowacji. To wtedy, kilka dni po jego powrocie do świątyni, ks. Zenon Czumaj odnalazł archiwalne zapisy świadczące o dawnym kulcie obrazu i łaskach otrzymywanych za jego pośrednictwem. Od tego momentu parafianie i pielgrzymi zaczęli jeszcze intensywniej modlić się przed wizerunkiem Serca Jezusowego.

Oficjalne potwierdzenie

Potwierdzeniem tego kultu będą zaplanowane na piątek uroczystości w Milejczycach związane z ustanowieniem Sanktuarium Najświętszego Serca Pana Jezusa Dobrego Pasterza. Podniesienie kościoła św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Milejczycach do rangi diecezjalnego sanktuarium będzie oficjalnym potwierdzeniem szczególnego znaczenia tego miejsca w życiu duchowym diecezji. To wyjątkowe wydarzenie będzie dniem wspólnej modlitwy, wdzięczności i pielgrzymowania do miejsca, w którym od wielu lat rozwija się kult.

Uroczystości rozpoczną się w piątek o godzinie 17 czuwaniem modlitewnym. O godzinie 17.40 ks. dr Zenon Czumaj wygłosi prelekcję pt. „Dzieje kultu Serca Pana Jezusa Dobrego Pasterza w Milejczycach". Na godzinę 18 zaplanowana jest uroczysta msza św. pod przewodnictwem biskupa drohiczyńskiego Piotra Sawczuka. Rozpocznie ją odczytanie dekretu ustanowienia Sanktuarium Najświętszego Serca Pana Jezusa Dobrego Pasterza w świątyni, a następnie przejście procesyjne na plac celebry przy sanktuarium.

Po zakończeniu uroczystości będzie możliwość indywidualnego odwiedzenia sanktuarium oraz osobistej modlitwy. Uroczystości będą transmitowane na żywo przez Telewizję Trwam, dzięki czemu duchowo będą mogli włączyć się także ci, którzy nie będą mogli osobiście przybyć do Milejczyc.

– Kiedy słyszę, że Kult Najświętszego Serca Pana Jezusa Dobrego Pasterza w Milejczycach wyrasta ze zdrowej tradycji Kościoła, biblijnej i liturgicznej, to upewniam się, że nie powinno nam grozić nic złego, że nie pójdziemy w jakimś wątpliwym kierunku – podkreślał biskup drohiczyński Piotr Sawczuk.

TO NIESAMOWITE, JAK SERCE JEZUSA DZIAŁA NA LUDZI. W NOWYM JORKU I OKOLICACH TRWA PEREGRYNACJA 30 OBRAZÓW I ZAPISY SĄ JUŻ NA KOLEJNY ROK. TAKI JEST GŁÓD SERCA BOŻEGO



FOT. DIECEZJA DROHICZYŃSKA



FOT. DIECEZJA DROHICZYŃSKA

Kościół pw. św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Milejczycach już w ten piątek zostanie podniesiony do rangi diecezjalnego sanktuarium

Obraz Najświętszego Serca Pana Jezusa w Milejczycach powstał na przełomie XVII i XVIII wieku

eprasa.pl 22d88d998a

Polska
Poniedziałek, 15.06.2026

KTO CI TO ZROBIŁ, SAMANTO? ZAGADKA ZBRODNI SPRZED LAT

16-letnia gimnazjalistka z Jasienia wybiega w czerwcową noc z domu, prosząc siostrę, by dała jej pięć minut, nim powie o tym mamie. Dwa dni później jej zwłoki z poderżniętym gardłem znaleziono w lesie oddalonym o ponad 30 kilometrów. Od zabójstwa minęło właśnie 15 lat, a sprawca lub sprawcy wciąż nie ponieśli za nią odpowiedzialności. Reporterka „Nowej Trybuny Opolskiej" spotkała się z bliskimi dziewczyny i – jako jedyna osoba niezwiązana ze śledztwem - przeanalizowała 15 tomów akt, by podjąć próbę rekonstrukcji wydarzeń tej tragicznej nocy.

Mirela Mazurkiewicz

Tej nocy, gdy ona wyszła, położyłam się w jej pokoju i czuwałam. Myślałam, że zastuka w okno, dając siostrze znać, żeby ją wpuściła. Nad ranem zerwałam się, bo usłyszałam ciche pukanie w szybę, ale nikogo nie było. Dziś myślę, że może to był znak, a ona właśnie wtedy konała zamęczona przez tych zwyrodnialców - mówi Barbara Wieczorek, mama zamordowanej 16-letniej Samanty Pędziwiatr z Jasienia w powiecie kluczborskim. Z materiałów śledztwa wynika, że wiedzę na temat ostatnich godzin życia dziewczyny ma więcej niż jedna osoba. - Czuję, że odpowiedź na to, co się wówczas wydarzyło, jest bliżej niż nam się wydaje.

Obraz, który został w pamięci na zawsze

Jest ciepła, czerwcowa niedziela 2011 roku. Barbara po tym, jak dzień wcześniej jej 16-letnia córka wybiegła z domu, ani na moment nie zmrużyła oka. Nie ma pojęcia, co w nią wstąpiło, bo nigdy wcześniej nie uciekała. Obdzwoniła koleżanki, rozpytała sąsiadów i nic. W poniedziałek kobieta niepokoi się jeszcze bardziej, bo w internecie przeczytała, że w oddalonej o ponad 30 kilometrów Ładzy w gminie Namysłów znaleziono zwłoki dwudziestokilkuletniej kobiety. Nie ma wątpliwości, że ktoś ją zamordował, a sprawca działał brutalnie podrzynając jej gardło. Barbara nie podejrzewa wówczas, że to ciało jej nastoletniej córki. Obrażenia zadane przez sprawcę dodały Samancie lat, dlatego bliscy jeszcze wówczas nie tracili wiary, że wróci cała i zdrowa.

- Mama odchodziła od zmysłów. Ja też bardzo się martwiłam, dlatego zabrałam młodsze rodzeństwo na plac zabaw. Żeby zająć dzieciaki, ale też pozwolić mamie spokojnie działać - wspomina tamten poniedziałek Ramona, siostra Samanty. Miała wówczas 14 lat. - W pewnym momencie przyszedł po nas mój ojczym i powiedział, że mamy wracać, bo Samanta nie żyje. Weszliśmy na podwórko, byli tam już policjanci. Mama siedziała na dworze, a przed nią leżały porozkładane zdjęcia ciała kobiety znalezionej w lesie. Ta kobieta była ubrana identycznie, jak moja siostra, gdy widziałam ją po raz ostatni. Mama nie chciała uwierzyć, że to ona. Powiedziała do mnie: „Zobacz, Ramona, to nie może być nasza Samanta". Ona leżała twarzą do ziemi, na głowę miała naciągnięty kaptur, ale ja nie miałam wątpliwości. Do końca życia nie zapomnę tego widoku...

Pani Barbara sądziła, że to tragiczna pomyłka. Zakładała, że córka pożyczyła komuś bluzę, ale przecież zgadzały się też buty, spodnie... Dopiero podczas identyfikacji w prosektorium nadzieja zgasła.

Sobota, 11 czerwca 2011 r.

Poprzedzająca te wydarzenia sobota nie była taka jak zwykle. W domu się nie przelewało, więc Barbara Wieczorek własnymi siłami remontowała pokój córek. Po całym dniu była zmęczona i brudna od zeskrobywanej ze ścian farby. Dochodziła godzina 23. Zwykle o tej porze była już w łóżku, ale porządki się przedłużały. Na domiar złego w łazience znalazła mokry ręcznik, który po kąpieli musiała zostawić jedna z córek. Weszła energicznie do pokoju, by się z nimi rozmówić.

- Samanta leżała już w łóżku. Mignęło mi jakieś światełko i ona szybko coś schowała pod kołdrę. Domyśliłam się, że to był telefon, a ona zapewne z kimś wymieniała wiadomości - relacjonuje Barbara Wieczorek.



FOT. RADOSŁAW DIMITROW

Samanta spoczęła na cmentarzu w Jasieniu. Jej bliscy wyjechali z wioski i wracają tu niechętnie. Mówią, że każda wizyta przywołuje wspomnienia tragedii sprzed lat

Mamę Samanty zaskoczył fakt, że dziewczyna ma telefon. Nie wiedziała, dlaczego trzymała to w sekrecie. Być może nastolatka nie chciała, by matka wiedziała, z kim utrzymuje kontakty. Kilka miesięcy wcześniej, przeglądając na komputerze Facebooka, Barbara zauważyła, że 16-latka ma wśród znajomych dużo starszych mężczyzn z innych regionów Polski. Zaniepokoiło ją to, więc kazała córce usunąć ich z listy kontaktów. Tej nocy Samanta nie chciała oddać telefonu. W końcu matka wyrwała go jej i wyszła.

- Zabrałam telefon do kuchni, żeby zobaczyć, z kim ona pisze. Zamierzałam jej go oddać, ale wtedy ją jakby wiater porwał. Wyszła z domu drugim wyjściem tak, że na początku nawet się nie zorientowałam - wspomina.

Chwilę wcześniej Samanta w pośpiechu zrzuca piżamę i ubiera przypadkowe rzeczy. Nie maluje się, nie zabiera torby ani dokumentów i znika w ciemności. Nie mówi siostrze, dokąd idzie ani kiedy wróci.

- Przed wyjściem stwierdziła, że mam jej dać 5 minut, a później powiedzieć mamie. Do dziś wyrzucam sobie, że zgodziłam się na tę jej prośbę, bo być może gdyby wtedy nie wyszła, wszystko potoczyłoby się inaczej... - mówi Ramona i płacze, choć wcześniej obiecała sobie, że będzie dzielna.

Sekretne życie nastolatki

Ramona nigdy wcześniej nie widziała, by Samanta wymykała się nocą z domu. Poszlaki na to wskazujące pojawiły się dopiero po jej zaginięciu.

- Ojczym wychodził w nocy na papierosa. Kilka razy widział ją przy bramie na tyłach domu, ale powiedziała mu, że wraca z wychodka, a on w to uwierzył. Mieliśmy toaletę w domu, więc to nie było logiczne. Może ona faktycznie w tajemnicy przed nami z kimś się spotykała? - zastanawia się jej siostra.

Samanta stylizowała się na chłopczycę. Dwa miesiące przed zbrodnią coś się zmieniło. 16-latka zaczęła nosić wydekoltowane bluzki, malowała usta. Ramona wiedziała, że jej siostra spotyka się z o trzy lata starszym chłopakiem z sąsiedniej miejscowości.

- Ja dowiedziałam się o tym dopiero wówczas, gdy zostałam tamtej nocy z jej telefonem w ręku - wspomina Barbara Wieczorek. - Ten kontakt był zapisany jako „Kochanie". Tamtej nocy przed godziną 23 on napisał „długo drapiesz te ściany, nie będę cię denerwował". Wyglądało to tak, jakby ją ponaglał, dlaczego ona jeszcze nie wyszła. Być może Samanta była z nim umówiona i czekała, aż ja pójdę spać, bo zamierzała wymknąć się z domu?

Po godzinie 23 Barbara Wieczorek dowiedziała się od młodszej córki, że Samanty nie ma w domu. Wsiadła w samochód i zaczęła jeździć po okolicy, licząc na to, że ją odnajdzie. Szukała przez trzy godziny, ale nie natrafiła na żaden ślad.

Z akt wynika, że tej nocy 16-latka próbowała porozmawiać ze starszą o dwa lata przyjaciółką, mieszkającą przy tej samej ulicy. Mama dziewczyny powiedziała Samancie, że jej córka jest wykąpana i leży już w łóżku. Z zeznań kobiety wynika, że zaprosiła stojącą przy furtce dziewczynę do domu, ale ona nie chciała wejść. Bardzo się spieszyła.

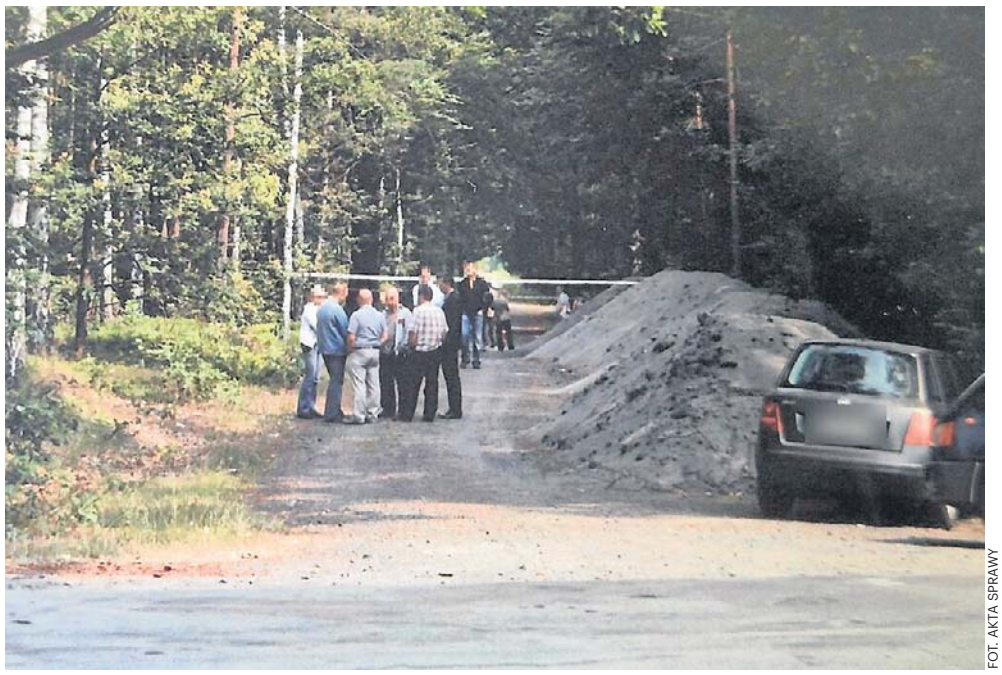
Idącą przez wioskę szybkim krokiem Samantę widzi kilka osób, m.in. chłopcy spędzający czas przy stawku w Jasieniu. Inni świadkowie mieli ją widzieć maszerującą wzdłuż drogi krajowej nr 45, łączącej Kluczbork z Opolem. Oprócz ich zeznań nie ma żadnego dowodu, który rozstrzygałby, czy faktycznie była to Samanta idąca w kierunku Opola. Tej nocy w stolicy regionu trwał Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej, który rok w rok przyciąga gości z całej Polski, więc ruch na tej trasie, zwłaszcza po północy, mógł być większy niż zwykle.

Dlaczego Samanta uciekła z domu?

Z jednej z opinii psychologicznych, które miały pomóc w profilowaniu sprawcy, wynika, że Samanta tej nocy była wzburzona tym, że mama - przeglądając telefon - poznała jej sekrety. Nie ma dowodów na to, że planowała dłuższą ucieczkę. Nie zabrała ze sobą nic poza tym, co założyła na siebie.

- Po zmroku nie było siły, żeby sama poszła do szopy po drewno, a przecież to dwa kroki od domu. Co dopiero w środku nocy wypuszczać się w nieznane - mówi pani Barbara. - Myślę, że ona była z kimś umówiona, a to, że znalazłam i zabrałam telefon, pokrzyżo-

eprasa.pl 22d88d998a



FOT. AKTA SPRAWY

Zwłoki Samanty znaleziono w lesie pod Namysłowem. Miejsce zbrodni zasłonięte było hałdami ziemi z remontowanej nieopodal drogi



FOT. AKTA SPRAWY

Ślad nr 4 to jeden z butów ofiary. Był wciśnięty między ściółkę i zeschłe gałęzie. Obok leżała twarzą do ziemi Samanta. Miała naciągnięty na twarz kaptur...

wało jej plany. Ktoś mógł ją odebrać na przykład z pobliskiego przystanku autobusowego?

To tylko jedna z hipotez. Samanta, jak ustalił biegły, najprawdopodobniej zginęła w nocy z 11 na 12 czerwca 2011 roku, czyli niedługo po tym, jak wyszła z domu. Zwłoki znajdowały się w lesie za Ładzą w kierunku Popielowa. To ponad 30 kilometrów od Jasienia. W poniedziałek, 13 czerwca, rano natrafił na nie pracownik leśny. Samanta leżała twarzą do ziemi. Na głowę miała nasunięty kaptur, co zdaniem policyjnych profilerów może wskazywać na to, że dla sprawcy nie była przypadkową ofiarą, ale że miał z nią związek emocjonalny i dlatego nie chciał patrzeć na twarz martwej dziewczyny.

Jak wyglądały ostatnie minuty życia Samanty?

16-letnia gimnazjalistka miała zadaną za życia ranę kłutą policzka, ucha oraz drobną ranę ciętą prawej dłoni, co wskazuje na to, że próbowała odeprzeć atak. Ujawnione przez biegłego medycyny sądowej obrażenia wskazują, że została podduszona, a dopiero później sprawca poderżnął dziewczynie gardło. Rana była bardzo głęboka. Prawdopodobnie zginęła tu, gdzie ujawniono zwłoki. Narzędzia zbrodni nie odnaleziono, ale obrażenia pozwalają wnioskować, że mógł to być nóż karbowany.

Ci, którzy mieli kontakt z Samantą tuż przed jej śmiercią, zapewne nie zdawali sobie sprawy, jak wiele śladów zostawili. Biegłym udało się wyodrębnić materiał genetyczny pochodzący od więcej niż jednej osoby. Wiadomo też, że Samanta, nim zginęła, odbyła stosunek seksualny z jednym mężczyzną, a nasienie drugiego znajdowało się na jej ubraniu. Nie miała typowych obrażeń wskazujących na gwałt, ale śledczy biorą też pod uwagę, że została sterroryzowana i zmuszona do współżycia. Śledczy, z którymi rozmawiałam, akta tej sprawy znają niemal na pamięć.

- To nie jest tak, że w Archiwum X stoją zakurzone tomy akt, do których od czasu do czasu ktoś zagląda - mówi funkcjonariusz pracujący nad tą sprawą - Od umorzenia śledztwa minęło 14 lat, ale mimo to sprawa jest stale analizowana. Sprawdzamy nowe tropy, przesłuchujemy świadków, weryfikujemy informacje, korzystamy z nowych metod kryminalistycznych i ponownie oceniamy materiał dowodowy. Jestem przekonany, że ustalenie przebiegu wydarzeń i dotarcie do prawdy jest kwestią czasu.

Nawet drobiazg może spowodować przełom

Tak było chociażby wówczas, gdy na policję - po wysłuchaniu jednego z podcastów - zgłosiła się kobieta. Historia Samanty poruszyła ją, dlatego rozmawiała o niej z osobami ze swojego otoczenia. Od jednej z nich dowiedziała się o dziwnym zdarzeniu, które miało miejsce w noc, gdy zginęła 16-latka. Mieszkaniec jednej z nieodległych od Jasienia miejscowości, który pracował w Niemczech i woził pracowników do Polski, po przyjeździe nad ranem do domu zachowywał się nietypowo. Płakał i krzyczał „Boże, jak to się stało?”. Była noc, więc zapewne sądził, że nikt go nie widzi. Sąsiedzi nigdy wcześniej nie widzieli go w takim stanie. Gdy następnego dnia media obiegła informacja o zwłokach znalezionych w Ładzy, osoba, która widziała tę sytuację, zaczęła się zastanawiać, czy nie miał on związku ze zbrodnią. Sąsiad miał dobrą opinię i wydawał się poza wszelkim podejrzeniem, dlatego nie podzieliła się wówczas tą wiedzą z policją. Rozmowy po latach na temat podcastu obudziły wspomnienia i dzięki temu dowiedzieli się o tym śledczy. Mimo że mężczyzna zmarł wiele lat temu, udało się przeprowadzić badania genetyczne, które wykluczyły, by brał bezpośredni udział w zdarzeniu. Niewykluczone jednak, że był świadkiem mimo woli. Ten wątek wciąż jest badany.



FOT. RADOSŁAW DIMITROW

Na drzewie, pod którym znaleziono zwłoki Samanty, od blisko 15 lat wisi kapliczka. Bliscy umieścili pod nią obrazek świętej Rity - patronki od spraw beznadziejnych. - Może ta tajemnica dojrzała właśnie do tego, by w końcu zostać rozwiązana? – mówi Ramona

Burzliwa miłość

Obrażenia zadane Samancie wskazują, że sprawcą kierowały silne emocje. Co je wyzwoliło? Być może Samanta wcale nie poruszała się wzdłuż drogi krajowej nr 45. Relacje świadków nie pozwalają bez cienia wątpliwości stwierdzić, że to właśnie ją widzieli późną nocą.

Jednym z pierwszych podejrzewanych w sprawie był 19-letni wówczas chłopak Samanty. Mieszkał w pobliskiej miejscowości, ale feralny weekend spędzał w Lasowicach Małych z ojczymem swojej byłej dziewczyny, którego traktował jak ojca. W czasie poprzedzającym zniknięcie Samanty mieli być na rybach nad okolicznym stawem, a później wrócić do domu mężczyzny, który znajdował się po sąsiedzku. Miejsca te są oddalone o około trzy kilometry od domu Samanty. Pieszo można tam dotrzeć w 45 minut. Badania genetyczne wykluczyły jednak, by chłopak Samanty brał bezpośredni udział w zdarzeniu.

- Moim zdaniem on nie powiedział nam wszystkiego - uważa Barbara Wieczorek.

Zeznania na temat relacji Samanty z chłopakiem są rozbieżne. Miał on być o nią zazdrosny i na tym tle często dochodziło do kłótni. Dzień przed feralną sobotą 16-latka miała powiedzieć swojej bliskiej przyjaciółce, że zamierza wrócić do tej relacji, co mogłoby wskazywać, że para się rozstała. Wcześniej chłopak był związany z siostrą tej przyjaciółki, ale związek się rozpadł.

Mroczne zdjęcie z nożem

Samanta w ostatnich miesiącach przed śmiercią dużo czasu spędzała przed komputerem, wymieniając wiadomości z rówolatkami, ale też z dużo starszymi mężczyznami z różnych części Polski. Jak wynika z relacji jednej z bliskich koleżanek, niektórzy proponowali jej seks, ale Samanta nie mówiła jej, by z kimkolwiek się spotkała. Krótko przed śmiercią zrobiła sobie mroczną sesję zdjęciową, z powodu której Ramona do dziś ma wyrzuty sumienia.

- Samanta przyszła do mnie z takim dużym nożem kuchennym i poprosiła, żebym zrobiła jej zdjęcie. Miałam 14 lat, więc nie pytałam, dlaczego akurat z nożem. Położyła się na podłodze, a ja zrobiłam kilka ujęć. Jedno z nich wrzuciła później na Facebooka - wspomina Ramona. Kobieta zadręcza się, że być może ktoś obserwował Samantę, a znalezione w internecie zdjęcie zainspirowało go do makabrycznej zbrodni. Fotografia, już po zaginięciu 16-latki, w tajemniczych okolicznościach zniknęła z sieci. Nie wiadomo, kto ją usunął.

Pod okiem świętej Rity

Na drzewie, pod którym znaleziono zwłoki Samanty, od blisko 15 lat wisi kapliczka. Bliscy umieścili pod nią obrazek świętej Rity - patronki od spraw beznadziejnych.

- Może ta tajemnica dojrzała właśnie do tego, by w końcu zostać rozwiązana? – mówi Ramona. – Nie ma dnia, żebym nie myślała o sprawcy. Ślady wskazują, że nie działał sam, a to oznacza, że osób, które znają przebieg tej feralnej nocy, jest więcej. Nie wierzę, że zmasakrowane ciało mojej siostry nie wraca do nich w nocnych koszmarach.

26 czerwca 2012 roku, z powodu niewykrycia sprawcy, śledztwo umorzono. Obecnie nad sprawą pracuje opolskie Archiwum X, czyli Wydział Kryminalny Komendy Wojewódzkiej Policji w Opolu, który rozpracowuje niewyjaśnione zbrodnie sprzed lat. Od tego czasu zapełniono kolejne trzy tomy akt. Każdy sygnał, nawet drobny, to nadzieja na to, że uda się ustalić przebieg tamtej tragicznej, czerwcowej nocy.

Sprawa zabójstwa Samanty Pędziwiatr przedawni się dopiero 13 czerwca 2061 roku. To oznacza, że do tego czasu będą przechowywane dowody, które mogą powiązać sprawcę z tą zbrodnią.

Matka Samanty mieszka w Niemczech. O tragedii sprzed lat przypominają jej portrety córki, które po jej śmierci własnoręcznie wyhaftowała. Jeden wisi w sypialni. Drugi w korytarzu naprzeciwko kuchni. Barbara patrzy na niego za każdym razem, gdy siedząc na krześle struga ziemniaki.

- Każdego dnia pytam: „Kto ci to zrobił, córeczko?”, ale odpowiedź na razie nie przyszła. Czasami śni mi się, że już, już mam się dowiedzieć, a wtedy sen się urywa. Ale ja wciąż wierzę, że poznam prawdę - mówi pani Barbara.

©℗

eprasa.pl 22d88d998a

Polska
Poniedziałek, 15.06.2026

NATALIA KUKULSKA: KIEDY COŚ ROBIĘ, TO IDĘ ZAWSZE NA CAŁOŚĆ

Dopiero co wystąpiła w Opolu, gdzie odebrała SuperJedynkę, a już szykuje się do jubileuszowych koncertów tej jesieni w całej Polsce. Nam opowiada o początkach swojej kariery i jak to się stało, że nie pojechała na Eurowizję w 1997 roku

Paweł Gzyl

Z okazji Twoich niedawnych 50. urodzin mnóstwo fanów złożyło Ci życzenia i ktoś napisał: „Pani jest polskim skarbem narodowym". Czujesz się kimś takim?
(śmiech) To bardzo urocze, nie czuję się jednak kimś takim. Chociaż zdarzało się, że mąż mówił do mnie „skarbie", ale nie dodawał „narodowy". (śmiech)

Twoja postać wywołuje niezwykle ciepłe emocje u słuchaczy. Jesteś chyba jedną z niewielu polskich gwiazd, która nie ma hejterów.
Ależ oczywiście, że mam, jak każdy, kto się wychyla. Jestem jednak już na tyle dojrzała, że potrafię odróżnić poczucie własnej wartości od tego, co ktoś o mnie pisze, bo to najczęściej wynika z jego ignorancji lub złych emocji, które w sobie tłumi i ma potrzebę podzielenia się nimi z innymi. Hejter nie zna świętości. Nie ma też osoby, która by wywoływała tylko dobre lub tylko złe emocje. Nawet gdy ktoś zdobywa dla nas medale olimpijskie, to są tacy, którzy mu coś wytkną. Nie można tego brać do siebie. Ale jeśli miałabym wyciągnąć jakąś średnią, to faktycznie wzbudzam ciepłe uczucia. Kiedy spotykam się z ludźmi, to widzę, że wywołuję u nich jakiś rodzaj serdeczności i życzliwości. Czasem ktoś mnie zaczepia na ulicy i mówi: „Chciałem tylko powiedzieć, że uwielbiam panią i to, co pani robi". To są przemiłe chwile.

Z czego to wynika?
Na pewno duże znaczenie ma to, że jestem w świadomości Polaków od dziecka. Nagrałam piosenki, na których ludzie się wychowywali, a potem wychowywali swoje dzieci. To taka sztafeta pokoleniowa, która spowodowała, że jestem im bliska. Towarzyszę im od dekad na różnych etapach ich życia. Mam sporo fanów, którzy pojawili się w latach 90. i nawet poznali moją mamę przeze mnie. To byli często ludzie młodsi ode mnie, więc nie słuchali jej piosenek, bo ich wtedy nie było jeszcze na świecie. Choć oczywiście sympatia też spływa na mnie od tych, którym Anna Jantar była bliska, szczególnie jeśli chodzi o starsze pokolenie. Każda kolejna płyta zdobywała mi inną publiczność, ale mam też takich wiernych fanów, którzy przechodzą ze mną te zmiany.

Poza okrągłymi urodzinami świętujesz w tym roku 40-lecie dziecięcego debiutu i 30-lecie dorosłego debiutu. Z tej okazji jesienią wyruszysz w wyjątkową trasę koncertową. Kiedyś mówiłaś, że nie przepadasz za celebrowaniem takich jubileuszy. Dlaczego tym razem zmieniłaś zdanie?
Pomyślałam sobie: „Kiedy, jak nie teraz?". Jeśli już, to właśnie teraz. Bo jestem jeszcze w pełni sił artystycznych, świadomie dbam o swoją formę. Te wszystkie rocznice nałożyły się w jednym roku i moja menedżerka mnie namówiła. „Natalia, ja sobie nie wyobrażam, żeby cię to ominęło" – powiedziała. Szczerze przyznam, trochę się tego bałam, bo takie podsumowanie kojarzy mi się ze staroświeckim benefisem, że coś się kończy i żegnamy się powoli. A ja tego tak nie czuję, nadal jestem bardzo aktywna. To wspaniały czas, więc świętujmy! Znasz mnie i wiesz, że kiedy coś robię, to idę zawsze na całość i angażuję się całą sobą. Ostatecznie zapaliłam się do tego pomysłu i pracuję nad tym wydarzeniem, by było jak najwspanialsze. Choć pracy z moim podejściem jest dużo, to dzięki temu czuję. że żyję!

Co usłyszymy podczas tej trasy?
Zrobię rzeczy, których zarzekałam się, że nigdy nie zrobię. Ale zrozum tu naturę kobiety! (śmiech) Na przykład pojawią się na tym koncercie moje dziecięce piosenki. Mam na to ciekawy pomysł. Sięgnę też oczywiście po utwory z lat 90., których dawno nie śpiewałam. Jednym z nich będzie mój debiutancki singiel z tamtego czasu – „Dłoń". Jego nowa wersja trafiła właśnie do sieci. Nie śpiewałam go od 1996 roku, bo w warstwie tekstowej i muzycznej był dla mnie zbyt patetyczny i monumentalny. Nie czuję już dziś takich emocji. Ale ponieważ nazwałam tę trasę „Czy ona jest taka jak ja", co zapożyczyłam od tytułu jednej z moich piosenek z płyty „Puls", to będę podczas tych koncertów sprawdzać, ile jest obecnie we mnie tej Natalii z tamtych lat.

I ta „Dłoń" jest takim wprowadzeniem?
Tak. Podjęłam się zaśpiewania piosenki, która wydaje mi się być dziś najdalsza ode mnie, żeby przeprowadzić taką autolustrację. I okazało się, że wykonanie tego utworu to nadal wielkie emocje. Oczywiście staraliśmy się z producentem Archie Schevskim uszanować oryginalną wersję, ale stworzyć też bardziej współczesny aranż, tożsamy z tym, co dziś czujemy. Dlatego ta obecna „Dłoń" nie ma już takiego patosu, a ma za to więcej mroku, po to, by ten tekst brzmiał w mych ustach wiarygodnie. Archie odczarował mi kompletnie ten utwór i bardzo mnie zaskoczył. To było chyba najtrudniejsze zadanie, jakie mu kiedykolwiek dałam. I teraz widzę, że przyjęcie tej piosenki jest bardzo ciepłe. Często ktoś, kto kiedyś nie lubił tego utworu, mówi mi dziś: „W tej wersji do mnie przemawia". A wielu fanom podobają się obie wersje. To dla mnie wielka sprawa.

Jak sobie zatem odpowiedziałaś na to pytanie z hasła jesiennej trasy: ile jest dzisiaj w tobie tej 10-letniej i tej 20-letniej Natalii?
Okazuje się, że to są wszystko moje składowe. Trochę we mnie zostało tamtej Natalii, trochę się zmieniło. Mam nadzieję, że mam w sobie coś z dziecka, którym byłam te cztery dekady temu. Oprócz tych najwcześniejszych moich przebojów, zaśpiewam też swoje piosenki filmowe. Te utwory też były ważne i odbiły się dużym echem. Choćby „Ani słowa" z „Herkulesa" czy „Zakochani" lub „Wierność jest nudna". Będą również przekrojowo kompozycje z późniejszych lat, łącznie z „Czułymi strunami". Skład mojego zespołu zostanie powiększony o Atom String Quartet, będę więc miała możliwość wykonać i kilka utworów Chopina w nowych adaptacjach. Te koncerty będą bogatsze niż zazwyczaj, podchodzimy do tego solidnie. Chcę pokazać, jak w moim życiu artystycznym dużo się działo, ale żeby szło także za tym jakieś przesłanie i świeżość. Podsumowaniem tego wszystkiego będzie „Dobrostan" z mojej ostatniej płyty. Przejdziemy więc drogę od „Światła" do „Dobrostanu", bo ten dobrostan jest dla mnie rodzajem światła. Można też powiedzieć, że będzie „Od Puszka-Okruszka do Chopina". (śmiech)

Cofnijmy się więc do tej dziesięcioletniej Natalii. Połowa lat 80. to był czas szarej komuny i pustek na sklepowych półkach. Nie każde dziecko nagrywało wtedy płyty i występowało w telewizji. Czułaś się trochę jak w bajce?
Ja w ogóle wtedy nie miałam tej świadomości. To wszystko było dla mnie naturalne. Mój tata zajmował się muzyką, więc od rana do wieczora grał na pianinie i komponował. Do tego często przychodzili do nas różni artyści. Tata zabierał mnie też na wycieczki do radia, do ZAIKS-u, na festiwal w Opolu. Byłam więc jego przyczepką i wszystko to obserwowałam. Trochę się nudziłam, ale też nasiąkałam tą atmosferą. I w pewnym momencie powiedziałam: „Tato, dlaczego dla wszystkich piszesz piosenki, a dla mnie nie?". No i w końcu napisał. „Co powie tata" pojawiło się w programie dokumentalnym o jego twórczości. Miałam wtedy 7 lat, to było 3 lata po śmierci mojej mamy. Brakowało w tym filmie czegoś optymistycznego na koniec. Tata wymyślił więc z reżyserem, że córeczka zaśpiewa wspomnianą piosenkę. Nikt nie przypuszczał, że to się tak rozhula. Do telewizji i radia przychodziły setki listów, żebym zaśpiewała coś więcej, no więc poszło to dalej.

Tata zatrzymał Cię w tym dziecięcym śpiewaniu, bo chciał, żebyś miała normalne dzieciństwo. Dobrze zrobił?
Bardzo. Ja nieszczególnie czułam się jak Alicja w Krainie Czarów. Chodziłam pieszo do zwykłej podstawówki, która była niedaleko mojego bloku, miałam koleżanki i kolegów na podwórku. Tata nie włożył mnie w wir koncertowania. Nagrałam płytę, ale w ogóle nie występowałam, miałam tylko dwa koncerty charytatywne w Warszawie. Poleciałam też na trasę po Stanach Zjednoczonych, ale tata zgodził się na nią tylko dlatego, żebym zobaczyła kawał świata. I faktycznie: zwiedziłam wtedy 14 stanów i było to ogromne przeżycie. A potem zaczęła się poważniejsza szkoła, do tego szkoła muzyczna, musiałam się więc na tym skupić. Kiedy zdałam do liceum, nie czułam już tych piosenek dla dzieci. Tata powiedział więc wtedy: „Jak będziesz dorosła i sama zdecydujesz, to wrócisz do śpiewania". A ja nie przypuszczałam, że mogłoby być inaczej, tak bardzo to kochałam.

Ale po maturze zdałaś na filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Myślałaś więc, aby pójść może inną drogą?
Miałam różne pomysły. Kiedy studiowałam filozofię, występowałam w akademickim teatrze, moim marzeniem było bowiem zawsze studiować aktorstwo na PWST. Ale ta filozofia mnie zafascynowała w liceum. Tak to zwykle bywa: przyjdzie nauczyciel z charyzmą i wykręci człowieka na drugą stronę. I ze mną też tak się stało. Nauczyciel mnie sprowokował i poszłam na filozofię. Akurat tak się złożyło, że mojej ciotki mąż jest w Poznaniu profesorem filozofii, więc przygotował mnie, powiedział, co mam poczytać, i zajęłam drugie miejsce na liście wszystkich zdających. To było dla mnie wielkie zaskoczenie, które bardzo mnie podbudowało. Ponieważ osoba z pierwszego miejsca nie mogła przyjechać, to właśnie ja odebrałam indeks od samego prezydenta Wałęsy. Ale już wtedy działałam też muzycznie. Filozofia jest bardzo wymagająca, trzeba dużo czytać i to nie coś, po co sięga się do poduszki, tylko w czytelni i w skupieniu. Pierwszy rok poszedł mi bez problemu, ale na drugim zaczęłam już mieć zaległości. Nagrałam „Światło" i jeździłam na koncerty. Bus podwoził mnie po nocy całej w podróży pod uczelnię, w efekcie czego zasypiałam na zajęciach. Moja ówczesna menedżerka powiedziała więc: „Albo to, albo to. Nie dasz tak dłużej rady". Moja babcia i tata byli na nią bardzo wkurzeni, że tak mi powiedziała, ale miała rację. Nie dałabym dłużej rady tego ciągnąć. Filozofia została więc w moim sercu i postawiłam na śpiewanie. Dwa lata studiów dużo mi jednak dały: są mi pomocne w formułowaniu myśli, w dyskusji, w rozmowach, w wywiadach i w pisaniu tekstów.

Przygotowując debiutancką płytę, odsunęłaś trochę tatę na bok i pracowałaś z młodymi muzykami i autorami. To był Twój sposób na zbudowanie własnej tożsamości artystycznej?
To było trudne, bo tata chciał uczestniczyć w tym moim dorosłym życiu muzycznym. A ja byłam bardzo krytyczna, wszystko wiedziałam lepiej. Oczywiście miałam prawo, aby robić wszystko po swojemu. Tata napisał mi „Dłoń" i do dziś wiele adeptek sztuki wokalnej sięga po nią na różnych konkursach i przeglądach, bo to trudny utwór do zaśpiewania. Rozgłośnie radiowe nie chciały go jednak grać, bo uważały, że jest zbyt monumentalny. Teksty na tę pierwszą płytę napisali mi również cenieni autorzy – Marek Dutkiewicz, Janusz Kondratowicz i Jacek Cygan, ale najbliżej było mi do tekstów, które tworzył dla mnie mój ówczesny chłopak Rysio Kunce. Dobrze mnie znał, łatwo było nam się porozumieć, mieliśmy ten sam język. Był młodym poetą, a ja namówiłam go na pisanie tekstów. I one były nasze, prawdziwe. Wiele z nich przetrwało do dziś i są hitami. Próbowałam czmychnąć spod kurateli taty, a tymczasem niektórzy sugerowali, że tata wszystko mi załatwiał. Prawda była więc odwrotna. Na drugą płytę, „Puls", tata napisał mi „Im więcej ciebie, tym mniej", ale Kasia Kanclerz nie pozwoliła mu podpisać tego utworu swoim imieniem i nazwiskiem, bo uważała, iż może mi to zaszkodzić.

Tata był dumny, że stworzył Ci taki wielki przebój?
Był szczęśliwy, że piosenka sama się obroniła. Nikt nie wiedział, czyje to jest, a był wielki przebój. I do dziś jest to jeden z najważniejszych utworów w moim repertuarze. W tam-

eprasa.pl 22d88d998a



FOT. MARTA WOJTAL

Natalia Kukulska: Jeśli mam wybierać między gnuśnością, rutyną i odcinaniem kuponów a motylami w brzuchu, podjarką i zaangażowaniem – to kto by się zastanawiał?

tym czasie pracowałam jednak już z ludźmi bardziej w moim wieku. „Puls" zrobiłam z Wojtkiem Olszakiem, który po Opolu zaproponował mi, że zostanie moim kierownikiem muzycznym. Ściągnął cały zespół Woobie Doobie, w którym na perkusji grał mój przyszły mąż. (śmiech) To był fajny czas, ale dopiero płyta „Sexi Flexi" z 2007 roku była tym momentem, w którym zaczęłam łapać wiatr w skrzydła, jeśli chodzi o pisanie tekstów i współkomponowanie muzyki. Stworzyliśmy wtedy z Bartkiem Królikiem i Markiem Piotrowskim z Sistars naprawdę kreatywny team i ta współpraca dużo mi dała. Potem zaczęłam już całkowicie autonomicznie działać.

W latach 90. pisano o Tobie, że jesteś polską Toni Braxton albo polską Mariah Carey. Skąd u Ciebie ówczesna fascynacja soulem?

Kochałam grupy wokalne zza oceanu, działające na pograniczu gospel i soulu. Fascynowały mnie te harmonie wokalne i groove ich muzyki. To nie było jednak takie oczywiste w Polsce. Wtedy panował u nas punk i społecznie zaangażowane piosenki. Pionierką soulu była u nas na pewno Kayah i kochałam jej utwory. Ja poszłam tą drogą i szczęśliwie okazało się, że ma to swoją publiczność. „Puls" odniósł wieki sukces, nastolatki bardzo pokochały te piosenki, tylko dziennikarze byli mało otwarci na tę muzykę. Kiedy nagrałam „Kamienie" z Tede w 2003 roku, to było uznane wręcz za faux pas. Tymczasem teraz najważniejsi polscy raperzy uznają ten utwór za pionierski i wręcz kultowy na polskiej scenie w łączeniu soulu i popu z hip-hopem.

Na fali sukcesu „Światła" miałaś jechać na Eurowizję w 1997 roku z piosenką „Powieki kryją świat". Dlaczego do tego nie doszło?

Pojechała wtedy Anna Maria Jopek i zajęła jedenaste miejsce, więc całkiem wysoko. Tak chciał los. Może nie byłam wtedy na to jeszcze gotowa? Miałam wówczas straszną tremę podczas występów. Może więc by mnie to przerosło? Sama jestem ciekawa, czy uniosłabym to, gdybym to ja pojechała. Piosenka „Powieki kryją świat" była rzeczywiście pod tym kątem napisana i trafiła potem na płytę „Puls", z której można ją sobie posłuchać. To był jedyny raz, kiedy przyszło mi do głowy, żeby jechać na Eurowizję. (śmiech)

Za sprawą „Pulsu" pokochały Cię nastolatki, które nie kojarzyły Cię jako córki Anny Jantar. To było dla Ciebie wyzwalające?

Bardzo. Czułam, że ludzie przychodzą na moje koncerty dla mnie. Moi fani znali każde słowo każdej piosenki. To był szał: EMPIK-i, w których miałam spotkania ze słuchaczami, pękały w szwach, dostałam nawet osobistą ochronę. Dziewczyny upodabniały się do mnie, na scenę leciały miśki, kiedy wychodziłam z koncertu, ludzie rzucali się na samochód. (śmiech) Nie mogłam w to wszystko uwierzyć.

Jak się z tym czułaś?

Byłam szczęśliwa, ale też zaskoczona, że to przybrało taki obrót. Sodówka mi nie groziła, bo tata i babcia tak mnie wychowali, że nie było na to szans. Dzisiaj czasem zdarza się, że fanatycy mojej mamy piszą na moich socialach: „Gdyby nie Anna Jantar, to by pani nie było". Wtedy moi fani odpowiadają: „Gdyby nie Natalia, to nie poznalibyśmy tak dobrze Anny Jantar. To ona nam ją pokazała". Dla mnie to kompletnie niepotrzebne, bo to nie żaden konkurs. Jesteśmy oddzielnymi bytami, nie trzeba wybierać. To bardzo nieuczciwe i krzywdzące podejście. Każdy jest na świecie dzięki swoim rodzicom. Ja nigdy nie zrobiłam nic, co by ułatwiło mi moją artystyczną drogę. Żeby nikt mi nie zarzucił korzystania z rodzinnych koneksji, pracowałam wręcz ciężej niż trzeba było. Wszyscy, którzy mnie znają, wiedzą, że u mnie nie ma nigdy chodzenia na skróty i po taniości. Te wysokie ambicje powodowały mój progres, ale niosły też ogromne obciążenie psychiczne i stres.

Własną wersję piosenki mamy „Tyle słońca w całym mieście" zamieściłaś dopiero na trzeciej płycie – „Autoportret". Co sprawiło, że poczułaś wtedy, iż możesz się zmierzyć z jej twórczością?

Poczułam się gotowa na tę konfrontację. Bo oczywiście były też pretensje: „Dlaczego ona w ogóle matki nie wspomina?". Ale tak to jest: nikomu nie dogodzisz. Wtedy stwierdziłam, że przyszedł czas, aby podać temu rękę i nie uciekać przed tym. Tak powstała nowa wersja „Tyle słońca" i fajnie się przyjęła.

Wraz z końcem lat 90. zaczęłaś powoli oddalać się od mainstreamu i eksperymentować z bardziej alternatywną muzyką. Nie chciałaś być typową gwiazdą popu?

Po prostu chciałam robić fajne rzeczy, a to nie zawsze wiąże się z tym, że są to rzeczy komercyjne. Dla mnie muzyka zawsze była i jest na pierwszym miejscu. Nie kalkulowanie. Dbam oczywiście o stronę wizualną koncertów, ale nigdy nie była ona dla mnie najważniejsza. Dla mnie wszystko wychodzi od muzyki. Zawsze szukam ludzi, którzy mnie na coś nowego otworzą. Już pierwszym zaczątkiem zmian w tę stronę była płyta „Natalia Kukulska" z 2003 roku. Tam były wspomniane „Kamienie" i „Decymy". Wtedy poznałam się z Bartkiem i Piotrkiem, czego konsekwencją stał się album „Sexi Flexi" z 2007 roku, bardzo wysmakowany estetycznie. Kocham tę płytę, dla mnie ona się w ogóle nie zestarzała, bardzo jestem z niej dumna. Od niej zaczęło się moje świadome myślenie o muzyce. Dzięki temu teraz nie rozkminiam, czy coś zostanie zagrane w radiu, czy nie, tylko po prostu robię fajną płytę. I każdy z moich albumów miał później swoją publiczność. Są tacy, którzy zaczęli mnie słuchać od „CoMixu", innych znów przekonał „Ósmy plan". Komercyjnie te wydawnictwa odniosły mniejszy sukces, ale wzbudzały zaufanie ludzi, bo dostrzegli we mnie kogoś więcej niż tylko popową artystkę.

W jednym z wywiadów powiedziałaś: „Nie chcę stać w miejscu, tylko cały czas szukać jakichś wyzwań". Skąd u Ciebie ten głód nowych wrażeń?

Z pasji. Z miłości do muzyki. Jeśli mam wybierać między gnuśnością, rutyną i odcinaniem kuponów a motylami w brzuchu, podjarką i zaangażowaniem – to kto by się zastanawiał? Tylko oczywiście trzeba mieć świadomość, że przy tym drugim trzeba się więcej napracować. Ale jeśli to czujesz, to ci się po prostu chce. Dlatego cały czas mam na to apetyt.

Równie wielki sukces co w muzyce odniosłaś w życiu prywatnym. Jesteś żoną tego samego mężczyzny od 26 lat. To że macie podobną wrażliwość muzyczną i pracujecie razem z mężem, pomogło wam osiągnąć ten imponujący staż?

Na pewno. Mamy poczucie wspólnej estetyki i wspólnych wartości. To są rzeczy najważniejsze. Ale też podobne poczucie humoru i obciachu. To zbliża nas od zawsze. Nie ukrywam jednak, że to, iż łączymy nasze życie prywatne i zawodowe, bywało nieraz wyzwaniem. Czasem jest to wręcz ping-pong, czyli odbijanie, kto bardziej musi odpuścić. Były więc kryzysy, zawsze o tym mówiłam. Jest jednak między nami uczucie i szacunek do siebie, które powodują, że decyzja, by walczyć o związek w trudnych momentach, jest oczywista. Musieliśmy się siebie nauczyć. Kiedy jest się ze sobą tyle lat, i to jeszcze w takiej intensywności zawodowej, jak my, jest mnóstwo wyzwań.

Niedawno w jednym z wywiadów Michał przyznał, że zaliczył problemy z depresją. To był najtrudniejszy moment w waszym wspólnym życiu?

Na pewno. Kiedy ktoś w związku ma depresję, odbija się to na obu osobach. Nie ma szans, żeby było inaczej. Na pewno był to więc trudny moment.

Ty nie miałaś takich problemów?

Nie diagnozowałam się nigdy pod tym kątem, ale wydaje mi się, że nie miałam depresji. Były oczywiście różne kryzysy. Najtrudniejszym etapem w moim życiu były te chwile, kiedy odchodzili moi bliscy, bo jestem osobą niezwykle rodzinną. Bardzo więc to przeżywałam. Zarówno moja psychika, jak i moje ciało chorowały. Miałam wtedy problemy zdrowotne. Mówię jednak o sobie wańka-wstańka, bo gdy upadam, umiem się odbić i odnajduję życie w swojej pasji. To mnie zawsze podnosi. Do tej pory przynajmniej mi się udawało. Teraz z kolei tak dużo dzieje się w moim życiu zawodowym, iż mam wrażenie, że za chwilę wysiądą mi moce przerobowe. (śmiech)

Dwoje dorosłych dzieci poszło waszym śladem i wkroczyło w świat muzyki. Odziedziczyły talent w genach czy świadomie pokierowaliście je w tę stronę?

Na pewno jedno i drugie. Tak samo, jak było u mnie. Jasiek jest aktywnym perkusistką, gra z Zalią, która jest teraz na topie, został też członkiem Orkiestry Męskie Granie. Zaangażowałam go również wraz z mężem do tworzenia muzyki do musicalu o mojej mamie, do którego napisałam libretto wraz z Ałbeną Grabowską. Jasiek jest bowiem nie tylko muzykiem, ale także wykształconym aranżerem i kompozytorem. Bardzo mi się podoba jego myślenie o muzyce: jest otwarty i ma wyobraźnię. Cieszę się więc, że mam jego i Michała na podorędziu, bo dzięki temu mogę sprawować nad wszystkim pełną kontrolę. (śmiech) Niedawno byliśmy z mężem na koncercie Zalii w Palladium i kiedy Jasiek zagrał solo na perkusji, spojrzeliśmy na siebie z pytaniem: „Kiedy to się stało?". (śmiech)

Ania najpierw studiowała musical w Londynie, a potem uczyła się śpiewu operowego. Co teraz?

Ania idzie dwutorowo: studiuje operę, do której ma lekkość, ale robi też swoje autorskie piosenki na pierwszą płytę. Mnie to bardzo zaskakuje, bo ja do tego ręki nie przykładałam i w żaden sposób jej do tego nie namawiałam. Przysięgam! (Śmiech) Obserwuję tylko i dopinguję.

A mała Laura chętnie siada do fortepianu?

Laura może mniej chętnie siada do ćwiczeń, ale za to najszybciej jej przychodzi uczenie się utworów na instrumencie. Czy ona jest taka jak ja? Zobaczymy. (śmiech)

eprasa.pl 22d88d998a

Polska
Poniedziałek, 15.06.2026

DLACZEGO STANISŁAW CAT-MACKIEWICZ WRÓCIŁ DO POLSKI?

14 czerwca 1956 r. rejsowym samolotem LOT-u wrócił do Polski z Londynu legendarny publicysta Stanisław Mackiewicz. PRL-owskie władze zorganizowały mu huczne powitanie

Mariusz Grabowski

Za to na emigracji powrót Cata przyjęto ze zgrozą i oburzeniem. Posypały się oskarżenia o zdradę i kolaborację z komunistami. Zwłaszcza, że jeszcze latem 1954 r. Mackiewicz został mianowany przez Augusta Zaleskiego, prezydenta na uchodźstwie, premierem i ministrem spraw zagranicznych.



FOT. TVP

Cat szybko wskoczył w PRL-owskie realia. Zapraszano go nawet do telewizji. Romans z realnym socjalizmem skończył się w 1964 r., gdy został sygnatariuszem „Listu 34"

Sprawa jest prosta

Z głośnego tekstu z 2006 r. Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka „Na granicy zdrady. Stanisława Mackiewicza powroty do Polski" dowiadujemy się, że Cat wrócił nad Wisłę, bo był agentem komunistycznym. Ale nie takim zwyczajnym szpiclem, lecz kimś, komu przysługiwały swoiste przywileje,

Jeszcze w Londynie „Mackiewicz nie składał pisemnych raportów (...), zaś przyjmowane przez niego pieniądze pobierał pod pretekstem »zaliczek« a conto pisanych książek, m.in. na Dostojewskiego (...). W dokumentach Departamentu I jest mowa o tym, że osobiście kwitował odbiór pieniędzy (do tej pory nie odnaleziono pokwitowań sygnowanych przez Mackiewicza). Dzięki pomocy bezpieki opublikował broszurę »Od małego do wielkiego Bergu« (Londyn 1956)".

Dla Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka sprawa jest prosta: Mackiewicz zaprzedał się warszawskiemu reżimowi i jego powrót był tego faktu naturalna konsekwencją. Branie od komunistycznych rezydentów pieniędzy i giftów, nadstawianie ucha na kuszące obietnice, tylko to potwierdzało.

Pieniądze, pieniądze...

Czy Cat-Mackiewicz naprawdę był na usługach komunistów? Raczej skorzystał z ich usłużności, bo do Polski chciał wrócić już w 1947 r. Wówczas jednak, za życia Stalina, taka możliwość nie wchodziła w grę. Zresztą - to znów Cenckiewicz i Gontarczyk - władze warszawskie nie zamierzały wtedy ściągać Mackiewicza do Polski, gdyż „przewidziano dla niego rolę najważniejszego agenta w polskim Londynie, który rozpracowywać miał instytucje polskiego państwa na wygnaniu".

W latach 1946-1950 Cat wydawał w Londynie emigracyjny tygodnik „Lwów i Wilno", zajmował się publicystyką, a od 7 czerwca 1954 do 21 czerwca 1955 r. premierował marionetkowi de facto rządowi RP na emigracji. Pełniąc swoją funkcję - jak przyznawał - nie zrealizował do końca żadnego z postawionych sobie celów: ani nie zorganizował opieki nad skarbami wawelskimi przechowywanymi po wojnie w Kanadzie, ani nie zrobił wiele w sprawie tzw. Afery Bergu, czyli przyjmowania pieniędzy przez polską emigrację na cele partyjne z kasy wywiadu amerykańskiego. Notorycznie brakowało mu pieniędzy.

„Londyniszcze"

Cenckiewicz i Gontarczyk piszą, że w sierpniu 1955 r. został zarejestrowany przez Departament I Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego jako kontakt operacyjny „Rober". Zaś od marca do czerwca 1956 r. otrzymał od oficera wywiadu z Departamentu I 1085 funtów, a później jeszcze 300 dolarów.

W 1955 r. Mackiewicz miał już najwyraźniej dość emigracyjnego chleba. Napisał list do ówczesnego ambasadora PRL w Paryżu, Jerzego Putramenta, który „przekazał" Mackiewicza kolejnemu rezydentowi wywiadu w Londynie - Jerzemu Klingerowi.

W swych raportach pisał on, że „inspirował" Mackiewicza do zamieszczania w prasie emigracyjnej artykułów negujących sens emigracji i oskarżających część polityków emigracyjnych o związki z wywiadem USA. Mackiewicz przekazał Klingerowi materiały o takich związkach oraz własną książkę na ten temat - wykorzystane potem w PRL-owskiej propagandzie.

Trudno stwierdzić, czy Klinger fantazjował czy nie. Faktem jest, że po powrocie do kraju Mackiewicz początkowo kontynuował krytykę emigracji. Dowodem wydane w 1957 r. „Londyniszcze", w którym dał upust swej niechęci do „nieprzejednanych" elit emigracyjnych, zaś Anglików przedstawiał jako bezwzględnych politycznych cyników. To raczej rozejście się Mackiewicza z „polskim Londynem" i trudne realia bytowe był powodem powrotu do kraju, a nie agenturalność. Swą prywatną wojnę z polską emigracją kontynuował też w bestsellerowych „Zielonych oczach z 1958 r.

Cat – szlachcic litewski

11 czerwca 1956 r. londyński „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza", najpoczytniejsza gazeta emigracji, opublikował „deklarację osobistą" Mackiewicza, wyjaśniającą powody jego decyzji o powrocie do kraju.

To dość znaczący tekst: deklarując się jako Polak, szlachcic litewski („miłości do Wilna nikt nie wyrwie z mego serca"), katolik i antykomunista, Cat wskazywał na niechęć państw zachodnich do podjęcia działań zmierzających do wydobycia Polski z sowieckiej strefy wpływów. Wyrażał nadzieję, że zapowiadana w kraju liberalizacja stosunków będzie trwała. „Polska jest Polską", kończył patetycznie cytatem z kanclerza litewskiego, księcia Michała Czartoryskiego. Redaktorzy „Dziennika..." opatrzyli oświadczenie wielce mówiącym nadtytułem: „»Szlachcic litewski« zapomniał o Wilnie, a »katolik« o kard. Wyszyńskim".

Ponoć „niektóre" środowiska emigracyjne podjęły wtedy poufne próby skłonienia Cata do rezygnacji z wyjazdu, oferując mu środki utrzymania, m.in. stypendium Komitetu Wolnej Europy, jakie pobierało wielu, często wybitnych, emigracyjnych pisarzy. Ale Mackiewicz zdecydowanie odmówił.

Kierunek: Polska

Sam powrót Cata do Warszawy 14 czerwca 1956 r. był sprawnie wyreżyserowanym spektaklem. Towarzyszyła mu odpowiednio przygotowana oprawa propagandowa. Mackiewicz witany był niczym głowa państwa lub gwiazda filmowa już na płycie lotniska. Obok najbliższej rodziny obecni byli krajowi i zagraniczni dziennikarze, przedstawiciel pełnomocnika rządu PRL do spraw repatriacji, prezes Związku Literatów Jerzy Putrament, rodzina, grono przyjaciół i znajomych. Kwadrans po wylądowaniu samolotu stosowny komunikat nadało Polskie Radio.

Na konferencji prasowej prowadzonej przez Henryka Korotyńskiego (wówczas naczelny „Życia Warszawy", zastępcą członka KC partii i poseł na Sejm PRL), Cat oświadczył, że „stosunek Ameryki do sprawy polskiej ogranicza się do dwóch rzeczy: do posiadania pewnych wpływów na jakiś ferment za żelazną kurtyną, oraz do kwestii wywiadu wojskowego".

Z punktu widzenia władz w Warszawie powrót do Polski Ludowej „zbuntowanego emigranta" Mackiewicza stanowił spektakularny sukces w prowadzonej od roku ogromnym nakładem sił i środków „kampanii repatriacyjnej". Każdy powracający emigrant legitymizował władze PRL. Nie bez powodu Ostatni artykuł, jaki Cat opublikował przed opuszczeniem Londynu, niósł w tytule jednoznaczne przesłanie: „Tu nie ma nadziei".

Jak pisał Paweł Zientara w „Plusie Minusie" w 2016 r.: „Emigracja, rzecz prosta, przyjęła ostentacyjny powrót Cata z oburzeniem, nie szczędząc słów potępienia. Było ono tym bardziej zrozumiałe, że na »dezercję« zdecydował się pisarz i polityk, który przez kilkanaście lat pobytu na obczyźnie solidnie zapracował na wizerunek radykała wśród »niezłomnych«. Z prasowych komentarzy wyłaniał się obraz »politycznego bankruta«, »kapitulanta«, który sprzeniewierzył się wyznawanym dotąd zasadom".

Cat naturalnie oburzeniem uchodźstwa niewiele się przejmował. Podobnie oświadczeniem rządu londyńskiego, które wprost mówiło o zdradzie. Juliusz Mieroszewski w „Kulturze" nawet zestawił powrót Mackiewicza z kilka dni wcześniejszą samobójczą śmiercią Jana Lechonia, uznając oba te gesty za dowód pogarszającej się kondycji emigracji, która nie jest przygotowana na stawienie czoła wyzwaniom, jakie niesie „odwilż" w kraju.

Ale nawet on nie zamierzał bronić byłego premiera. Marian Hemar w „Wiadomościach", odcinając się od poglądów i decyzji Cata, pół żartem, pół serio stwierdzał, że rozgłos wywołany na Zachodzie przez jego „polityczne harakiri" okazał się „najlepszym propagandowym osiągnięciem ostatnich lat emigracji".

Socjalistyczny raj

Dla Mackiewicza pierwszy okres w PRL-u był niemalże sielanką. Dostał mieszkanie na ul. Jezuickiej na odbudowanej warszawskiej Starówce, wydawano mu książki, dopieszczano w ówczesnych mediach. Publikował artykuły w „Słowie Powszechnym", „Przeglądzie Kulturalnym" i w „Kierunkach". Był obecny na PAX-owskich kiermaszach książki, jeździł także po całym kraju z wykładami. Prowadził również wykłady z zakresu literatury rosyjskiej na Polonistyce UW. Wstąpił do ZLP i SDP.

Towarzyszył temu typowy Mackiewiczowski snobizm. Kazał mówić do siebie „Panie premierze", a swoim mieszkaniu zorganizował udzielny kawałek „Wielkiego Księstwa Litewskiego". Niezmiennie atakował londyńską emigrację, krytykował także polityków emigracyjnych w swej publicystyce, np. wicedyrektora Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa Tadeusza Żenczykowskiego nazywał „ozonowskim Goebbelsem".

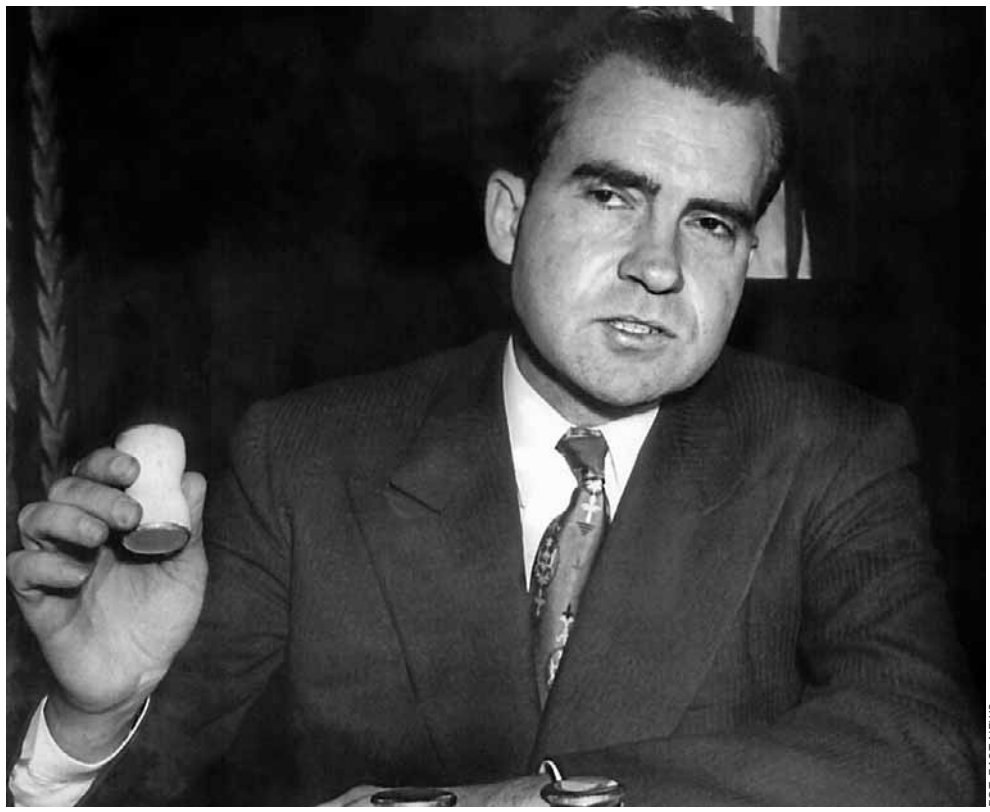
To rzecz jasna wywoływało gwałtowny atak na jego osobę w prasie emigracyjnej. Oskarżano go np, że stał figurą na posyłki komunistów, „wysługującą się za judaszowe srebrniki". Co zresztą nie było prawdą, bowiem Cat, beneficjent polityki kulturalnej władcó PRL, zarobił w latach 1958-1965 za publikacje prasowe blisko milion ówczesnych złotych. Romans z realnym socjalizmem skończył się dlań w 1964 r. gdy został sygnatariuszem „Listu 34". W konsekwencji planowano wytoczyć mu nawet proces o działalność na szkodę socjalistycznego państwa, ale zabrakło czasu Stanisław Cat-Mackiewicz zmarł 18 lutego 1966 r.

eprasa.pl 22d88d998a

Stany Zjednoczone na wojnie z narkotykami

55 lat temu, 17 czerwca 1971 r., administracja USA ogłosiła „War on Drugs", czyli totalną wojnę z narkotykami. Po czym spektakularnie ją przegrała

Mariusz Grabowski



FOT. EAST NEWS

Cat szybko wskoczył w PRL-owskie realia. Zapraszano go nawet do telewizji. Romans z realnym socjalizmem skończył się dlań w 1964 r. gdy został sygnatariuszem „Listu 34".

Amerykańska wojna z narkotykami jest doskonałym przykładem niekonsekwencji. Wynikającej z tzw. polityki narkotykowej, zapoczątkowanej właśnie przez Richarda Nixona. Owa polityka oparto na założeniu, że narkotyki i substancje psychoaktywne można skutecznie wyeliminować z życia społecznego. Sęk w tym, że realizację tego celu, sformułowanego na poziomie rządu federalnego scedowano na poziom poszczególnych stanów.

Dlatego szczegółowe przepisy dotyczące kar za posiadanie nielegalnych substancji oraz redukcji szkód różnią się znacznie między poszczególnymi stanami. Dodajmy do tego kolejną niekonsekwencję: USA prowadzą swoją politykę narkotykową także poza granicami własnego kraju, interweniując w krajach, w których narkotyki są produkowane. I z których często płyną na terytorium Stanów.

Wojna kulturowa

Niemal natychmiast po ogłoszeniu wojny z narkotykami na Nixona i jego urzędników spadła fala krytyki. Co ciekawe, głównym argumentem nie była bezskuteczność planowanych działań, ani nawet związane z tym gigantyczne koszty, ale obrona wolności jednostki. Argumentowano, że zabronienie stosowania części używek, głównie marihuany i haszyszu, uderza w podstawy liberalnego systemu prawnego na której stoi Ameryka.

Wskazywano też na dyskryminację kulturową w stosunku do użytkowników legalnych używek, głównie alkoholu i tytoniu. Na pytanie: skoro można legalnie pić alkohol, dlaczego nie można legalnie zapalić skręta? Do dziś trudno znaleźć odpowiedź. Doszły do tego podziały klasowo-obyczajowe. Marihuana tradycyjnie kojarzona była w Stanach ze środowiskami liberalnej lewicy i mniejszości rasowych. Dla konserwatywnej większości narkotyki kojarzone były jednoznacznie z „lewicą".

Czarni, hippisi, lewica

Z czasem do powyższego zestawu argumentów krytycznych doszedł argument polityczny. W 2016 r. w „Harper's Magazine" ukazał się tekst dziennikarza Dana Bauma, który zrelacjonował swoje spotkanie z Johnem Ehrlichmanem w 1994 r., który przyznał, że ogłoszona w czerwcu 1971 r. „War on Drugs" miała być politycznym narzędziem uciszenia hipisów i antywojennej lewicy protestującej przeciwko wojnie w Wietnamie, a także że wymierzona była w zbuntowanych czarnoskórych aktywistów. Celem Nixona było ukrócenie protestów, uciszenie krytyki i w rezultacie reelekcja

„Widzieliśmy - mówił Erlichman, w 1971 r. doradca prezydenta Nixona do spraw krajowych - że nie możemy zdelegalizować bycia przeciwnikiem wojny lub czarnym, ale mogliśmy publicznie skojarzyć hipisów z marihuaną i czarnych z heroiną, a przez ich ciężką kryminalizację, mogliśmy zdezorganizować te społeczności. Mogliśmy aresztować ich przywódców, robić naloty na ich domy, rozbijać ich spotkania, i szkalować ich każdego wieczoru w wieczornych wiadomościach. Czy wiedzieliśmy, że kłamiemy na temat narkotyków? Oczywiście wiedzieliśmy".

Powstaje DEA

W praktyce wojna Nixona sprowadziła się do utworzenia Biura ds. Narkotyków i Niebezpiecznych Leków (Bureau of Narcotics and Dangerous Drugs - BNDD), które w 1973 r. zastąpiono Drug Enforcement Administration, czyli dobrze znanym dzisiaj DEA. Wedle danych z 2021 r., budżet agencji wynosi ponad 3,28 mld dolarów, a liczba zatrudnionych to blisko 20 tys. ludzi (w tym 4649 agentów specjalnych).

Na poziomie federalnym uchwalono ustawę, której projekt był już gotowy w 1970 r. Tzw. „Comprehensive Drug Abuse Prevention and Control Act" pozwalała na sklasyfikowanie narkotyków na pięć kategorii zaostrzając kary za ich posiadanie oraz handel. Na poziomie wykonawczym wyposażono organy ścigania w możliwość przeszukań posiadaczy narkotyków bez uprzedzenia (tzw. „no-knock warrants"). Stworzono ponadto podwaliny pod wielomilionowe akcje o charakterze społecznym (takie jak późniejsze „Just Say No"), w których popkulturę i media angażowano do promowania wizerunku narkotyków jako głównego zagrożenia dla porządku publicznego.

Powiedz „nie"

Po odejściu Nixona ze stanowiska w 1974 r. wojna z narkotykami nieco ucichła, a nawet doszło do paradoksu który już znamy. Na poziomie federalnym trwała w najlepsze, ale lokalnie rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Tylko w latach 1973-1977 11 stanów zdekryminalizowało posiadanie marihuany, czyli opowiedziało się przeciw założeniom „War on Drugs". Co więcej, w 1977 r. prezydentem został Jimmy Carter. Jednym z haseł jego politycznej kampanii była właśnie dekryminalizacja marihuany. W pierwszym roku jego urzędowania Senacka Komisja Sądownictwa zagłosowała za niekaraniem posiadania do jednej uncji (ok. 28 gramów) marihuany.

W latach 80. prezydent Ronald Reagan wrócił do Nixonowskiej polityki wojny przeciwko narkotykom. W 1984 r. jego żona Nancy Reagan rozpoczęła kampanię „Just Say No", aby zwrócić uwagę na niebezpieczeństwa związane z ich zażywaniem.

Pełne więzienia

Reorientacja prezydenta Reagana na narkotyki i przyjęcie surowych kar za przestępstwa narkotykowe w Kongresie i stanowych organach ustawodawczych doprowadziły do masowego wzrostu liczby osadzonych w więzieniach za przestępstwa narkotykowe bez użycia przemocy. W 1986 r. Kongres uchwalił ustawę o przeciwdziałaniu nadużywaniu narkotyków, która ustanowiła obowiązkowe minimalne kary pozbawienia wolności za niektóre przestępstwa narkotykowe. I tak np. za posiadanie pięciu gramów cracku automatycznie groził wyrok pięciu lat pozbawienia wolności, podobnie było w przypadku posiadania 500 gramów kokainy w proszku.

Doprowadziło to do szybkiego wzrostu liczby osadzonych w więzieniach za przestępstwa narkotykowe dokonane bez użycia przemocy, z 50 tys. w 1980 r. do blisko 400 tys. w 1997 r. Według Federalnego Biura Więziennictwa, prawie połowa z 186 tys. osób odbywających karę w więzieniach federalnych w Stanach w 2014 r. została osadzona za przestępstwa związane z narkotykami.

I co dalej?

Nie zanosi się, żeby trwająca ponad pół wieku amerykańska wojna z narkotykami zbliżała się do końca. Oblicza się, że wdrażając w życie koncepcję: „Wyeliminować, zakazać, uwięzić", do dziś wydano na ten cel ponad bilion dolarów z pieniędzy podatników, a rezultatem są pełne więzienia, kwitnąca globalna mafia i rosnąca nieuregulowana konsumpcja narkotyków na całym świecie.

Krytykę dotychczasowego modelu wojny z narkotykami wyraziła w swoim raporcie z 2011 r. również Światowa Komisja ds. Polityki Narkotykowej, w której zasiadał m.in. Kofi Annan, były sekretarz generalny ONZ. Oprócz braku sukcesów w redukcji produkcji i spożycia narkotyków na świecie, wskazywała na wytworzone przez niego rocznie dodatkowe 100 mld USD kosztów w postaci zbrojnych konfliktów i wzrostu populacji więziennej.

Wojna bez zwycięstwa

W roku 2021, dokładnie 50 lat po przemówieniu Nixona w Kongresie dwie liberalne organizacje American Civil Liberties Union (ACLU) oraz Drug Policy Alliance (DPA) zapytały Amerykanów, jak oceniają „wojnę z narkotykami". Ogromna większość badanych (83 proc.) odpowiedziała, że polityczny projekt Nixona poniósł porażkę, a zaledwie 12 proc. uznało go za sukces.

Krytycznie wobec polityki Nixona w sprawie narkotyków zapatrywały się zarówno te osoby, które zdeklarowały się jako demokraci (83 proc.), jak i republikanie (82 proc. Autorzy badania pytali o szczegółowe oceny dotychczasowej polityki wobec substancji psychoaktywnych oraz o opinie na temat proponowanych zmian. 67 proc. badanych zgodziło się z tezą, że „wojna z narkotykami" doprowadziła do „przeludnienia systemu więziennictwa, wydrenowała zasoby i wykorzystała potrzebne środki z bardziej efektywnych programów takich jak „terapie i leczenie".

Oregońskie fatum

Wydaje się, że w sprawie narkotyków wahadło tolerancji wychyliło się w Stanach w drugą stronę. Dowodem tzw. narkotykowa rewolucja w Oregonie, która co prawda się nie udała, ale - jak tłumaczą jej autorzy - „intencje były dobre a eksperyment miał wyzwolić stan z narkomanii".

W 2020 r. Oregon - jako pierwszy stan w historii - na fali politycznego zwycięstwa Joe Bidena zdekryminalizował posiadanie małej ilości wszystkich narkotyków. W tym tych twardych, jak heroina, kokaina czy fentanyl. Zmianę prawa poparła przez ponad połowa mieszkańców stanu. Uchwalono, że gdy policja znajdzie przy kimś np. gram heroiny, to wręczy mu jedynie wizytówkę kliniki zajmującej się terapią uzależnień. Za nieopłacenie leczenia nie miały grozić żadne konsekwencje.

Szybko okazało się jednak, że skutki są opłakane. Na ulicach stołecznego Portland osoby uzależnione można dziś spotkać dosłownie co krok, a umieralność z powodu przedawkowania skoczyła. W styczniu 2024 r. władze ogłosiły 90-dniowy stan wyjątkowy w centrum Portland ze względu na skalę kryzysu. A od 1 września 2024 r. posiadanie niewielkich ilości twardych narkotyków ponownie jest traktowane jako przestępstwo zagrożone karą pozbawienia wolności. Richard Nixon triumfuje po śmierci.

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl 22d88d998a

pod PARAGRAFEM

W KSIĘGARNIACH

Sabero, gdzie jesteś!?
Za kilka dni premiera „Pocałunku na pożegnanie" Lisy Gardner (wyd. Albatros). Bohaterką jest Frankie Elkin, specjalistka od zaginięć. Przemierza Stany i wkracza do akcji, gdy rodzina i policja tracą już nadzieję. Tym razem zainteresowała się zaginioną Saberą Ahmadi z Afganistanu. Przyjaciółka kobiety jest przekonana, że Sabera nigdy nie zostawiłaby swojej czteroletniej córki.

ZA TYDZIEŃ

Remanenty napoleońskie: co zostało po Cesarzu?
Prócz rewolucyjnych idei, prawodawstwa i dumy z Austerlitz, Napoleon pozostawił po sobie także sporo całkiem przyziemnych pamiątek.



Bierni, mierni, ale wierni. Takich marszałków miał Józef Stalin

Michał Wróblewski
redakcja@polskatimes.pl

Marszałkowie Związku Radzieckiego tworzyli zamknięty krąg najwyższych rangą wybrańców komunistycznego kraju. Do tego grona można było trafić tylko decyzją Józefa Stalina.

8 listopada 2014 roku, Centrum Kultury Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Prezydent Rosji Władimir Putin odznacza ostatniego żyjącego marszałka Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, antyreformatorskiego puczystę Dmitrija Jazowa. Właśnie skończył 90 lat. Jazow – w czasie rządów Michaiła Gorbaczowa minister obrony, wspierający na początku lat 90. pucz przeciwko reformatorskim władzom ZSRR, po obaleniu którego został aresztowany i osądzony – to ostatni mianowany marszałek Związku Radzieckiego.

W czasie sprawowania swojej funkcji otrzymał ponad 30 medali, odznaczeń i orderów. Dwa razy uhonorowano go Orderem Lenina. Gdy po czasie spędzonym w więzieniu – w wyniku antyreformatorskiego puczu – Jazow wyszedł na wolność na mocy amnestii, przeszedł na emeryturę. Zmarł w wieku 96 lat, 25 lutego 2020 roku w Moskwie.

Marszałkowie zastępują generałów

Tych przywilejów sowieccy marszałkowie mieli sporo. Prowadzili bujne i wystawne życie, a większość z nich można było określić krótko: bierni, mierni, ale wierni. Czyli dla systemu idealni. Zdarzały się jednak wśród nich jednostki na swój sposób wybitne, ale były to wyjątki od reguły.

Rok 1918 – w życie właśnie wchodzi dekret, który powołuje do życia Armię Czerwoną. Dokument wprowadza ponadto istotne zmiany: od tamtej chwili sowieccy oficerowie tytułowani są według pełnionych funkcji, znoszone zostają rangi, które obowiązywały dotąd w carskiej armii.



Generalissimus Józef Wissarionowicz Stalin w otoczeniu radzieckich marszałków i generałów, 1945 rok

Niemal dwie dekady później, połowa lat 30. Stopnie oficerskie zostają przywrócone. Pominięty zostaje stopień generała. Ustanowiony jest stopień nowy: marszałek Związku Radzieckiego. Tym zaiste godnie brzmiącym tytułem Józef Stalin obdarowuje pięciu dowódców wojny domowej w Rosji, którzy zasłużyli się szczególnie. Siemion Budionny, Kliment Woroszyłow, Aleksandr Jegorow, Wasilij Blücher, Michaił Tuchaczewski – to oni od tamtej pory noszą się z dumnym określeniem „Marszałka ZSRR". Trzech z nich tytułem szczyci się niedługo: Blücher, Jegorow i Tuchaczewski zostają uznani za wrogów narodu i straceni.

Marszałków zostaje dwóch. Ich historia splata się wyłącznie w początkowych jej stadiach. Sprawa Tuchaczewskiego zasługuje na uwagę szczególną.

Złowrogi toast

Maj 1937 roku, Plac Czerwony w Moskwie. Na trybunę wkracza marszałek Tuchaczewski. Samotny. Czuje się swobodnie – ręce w kieszeni, podniesiona głowa – wszak to jego naturalne środowisko. Nagle obok niego pojawia się marszałek Aleksandr Jegorow – jeden z pierwszej piątki odznaczonych przez Stalina. Jegorow – jak robi się to zwyczajowo – Tuchaczewskiemu salutować nie zamierza, nawet na niego nie patrzy.

Kończy się przemarsz wojskowej defilady. Tuchaczewski znika z pola widzenia. Jest ten sam dzień, zbliża się wieczór. Józef Stalin spotyka się z marszałkiem Klimientem Woroszyłowem. Atmosfera jest swobodna – Stalin żartuje, proponuje toast – a wyżsi rangą dowódcy wojskowi doskonale czują się w swoim towarzystwie. Miły nastrój przerywa wódz: „Wkrótce wrogowie wewnętrzni zostaną zmieceni w proch, partia już ich demaskuje". W szeregi wojskowych wkrada się popłoch. Stalin jak gdyby nigdy nic proponuje kolejny toast: „Spokojnie, towarzysze. Wielu z was pozostało wiernych. Podczas rocznicy października spotkacie się ze mną".

Buntownicy za burtą

Trzy tygodnie po pierwszomajowej defiladzie marszałek Tuchaczewski marszałkiem być przestaje. Zostaje zatrzymany i osadzony. Był uznawany za jednego z najzdolniejszych radzieckich dowódców, i to mimo klęski w Bitwie Warszawskiej w roku 1920. Postrzegano go jako zdolnego stratega i człowieka z wizją. Talent. Jego zatrzymanie wprowadziło radzieckich wojskowych w konfuzję.

Pod koniec maja zapada wyrok: Tuchaczewski wraz z innymi wysoko usytuowanymi w rosyjskiej armii kompanami miał zawiązać spisek przeciw ojczyźnie. Chciał się przeciwstawić partii. A partia buntu na pokładzie nie wybacza, partia buntowników wyrzuca za burtę. Według partii Tuchaczewski miał rozmach: przypisywano mu chęć przeprowadzenia „pałacowej rewolucji", zamiar dokonania mordu na Stalinie, Wiaczesławie Mołotowie, Maksimie Litwinowie. Prawdziwy zamach stanu.

Tuchaczewski zakochanym w Józefie Wissarionowiczu towarzyszom jawił się jako samozwańczy pretendent do tronu. Podobno chciał ustanowić wojskową dyktaturę i stanąć na czele państwa, oczywiście pozbywając się zbędnego balastu w postaci „wiernych" ojczyźnie towarzyszy. Podobno pragnął sojuszu z faszystowskimi Niemcami. Podobno chciał zrzec się będących w posiadaniu ZSRR terenów. Podobno. Bo że to wszystko nieprawda, wiedział właściwie każdy, ale nie o to w tym wszystkim chodziło.

„Niech żyje Stalin!"

Proces Tuchaczewskiego pokazał czarno na białym sposób myślenia komunistycznych dygnitarzy panicznie bojących się o swoją pozycję, zwłaszcza że były już marszałek w końcu przyznaje się do winy. Wyłącznie po to, by komuniści przerwali brutalne tortury. Sędziami w jego sprawie są jego niedawni kompani: marszałkowie Blücher i Siemion Budionny. Po całodniowym procesie wyrok jest łatwy do przewidzenia: stracenie.

Więzienie Łubianka. Tuchaczewski stoi przed plutonem egzekucyjnym, w jego kierunku wymierzone strzelby. Zanim egzekutorzy nacisną spust, marszałek zdąży krzyknąć: „Strzelacie do nas! Do nas, do Armii Czerwonej!". Miejsca na sentymenty jednak nie ma. Zanim Tuchaczewski zostanie rozstrzelany, wykrzyczy jeszcze: „Niech żyje partia, niech żyje Stalin!". Ten ostatni skwitował to wzruszeniem ramion: „Jakiż podlec, jakiż Judasz. Przed obliczem śmierci podważa wyrok sądu".

Trzy lata po śmierci Tuchaczewskiego rangi generalskie wracają. Jest początek lat 40. Na świecie trwa już regularna wojna. Niemcy wyniszczają się wzajemnie ze Związkiem Radzieckim. Stalin robi kolejny ruch: otwiera dla sowieckiej generalicji możliwości awansu na wyższe stopnie, które wprowadza, a właściwie przywraca.

Jedyny generalissimus

Powstają tytuły: marszałek rodzaju wojsk i główny marszałek rodzaju wojsk. De facto istnieją wtedy trzy rodzaje marszałków, obejmujących wojska lądowe i powietrzne. Dwa wymienione wyżej tytuły odnoszą się do lotnictwa, artylerii, wojsk pancernych, łączności i wojsk inżynieryjnych. W marynarce wojennej marszałkami byli admirałowie floty i admirałowie floty Związku Radzieckiego. Te dwa określenia funkcjonują osobno.

Gdy wojna się kończy, w Związku Radzieckim funkcjonuje 30 marszałków. Ich rangi były różne. Trzeba było wybrać tego „najwyższego". Zostaje nim, rzecz jasna, Józef Stalin.

Decyzją Rady Najwyższej ZSRR wódz Sowietów od 26 czerwca 1945 r. zostaje generalissimusem Związku Radzieckiego. On sam marszałkiem był ledwie dwa lata. Ale to nie miało znaczenia – narzędzia władzy Stalina wykraczały daleko poza oficjalne tytuły.

Pożyteczni idioci

Wielu „kolegów" Rokossowskiego kierowało się wyłącznie potrzebą zrobienia kariery i pławieniu się w luksusach. Sterowały nimi niskie instynkty. Pieniądze, blichtr, hedonistyczne podejście do życia – tak wyglądała elita Związku Radzieckiego. Niedźwiedziem na glinianych nogach przez długi okres żywota ZSRR rządzili po prostu pożyteczni – z punktu widzenia Kremla – idioci, lubujący się w najbardziej prymitywnych i doraźnych, snobistycznych przyjemnościach. Jakby chcieli stworzyć nową arystokrację. Z pańszczyźnianą mentalnością.

Większość radzieckich marszałków cechowało niezwykłe wręcz proweniencyjne podobieństwo. Wielu z nich wywodziło się z rodzin ubogich, prostych, w których panoszył się analfabetyzm i brak chęci na zmianę położenia. Chłopskie klany, wieś, trudnienie się sztuką najbardziej prymitywnego, prostego rzemiosła – taki był przeważnie rdzeń biograficzny wielu późniejszych przywódców wojsk radzieckich. Również charakterologicznie przyszli marszałkowie zbyt dalece od siebie nie odbiegali, ba – cechowała ich wspólnota osobowości. Przez wiele lat kształtował ich system, nieuznający indywidualności, tłamszący chęć rozwoju, tłumiący ambicje.

Wspomniany już Woroszyłow – dowodzący siłami zbrojnymi radzieckiego państwa przez 15 lat – był podobno jednym z najbardziej ograniczonych intelektualnie marszałków sowieckich. Może dlatego przeżył?

eprasa.pl 22d88d998a













FOT. GRZEGORZ WAJDA - NEW JERSEY

W MUNDIALOWYM OBIEKTYWIE GRZEGORZA WAJDY. W starciu Brazylii z Marokiem pojawiły się magiczne momenty. Na cudowną bramkową akcję zespołu z Afryki – asysta: Brahim Diaz, podcinka: Ismael Saibiri – Canarinhos odpowiedzieli trafieniem Viniciusa. Na stadionie w New Jersey pojawił się Neymar, a show skradli kibice z Ameryki Południowej

Mundial 2026 W amerykańskim turnieju zaczęły się nocne maratony. Kibice muszą szykować kondycję

Pierwszy hit na remis. Canarinhos zatrzymani przez Lwy Atlasu

Bartosz Głąb
redakcja@polskapress.pl

Kibice ostrzyli sobie zęby na pierwszy hit MŚ. Mecz wielkiej Brazylii z potężnym Marokiem nie wyłonił zwycięzcy, ale emocji było co niemiara. Uwagę przykuł też wynik innego spotkania.

Canarinhos co 4 lata są uznawani za jednego z głównych faworytów do sięgnięcia po najbardziej pożądane piłkarskie trofeum. Jednak tym razem z racji bardzo słabych eliminacji i niezbyt dobrej atmosfery wokół drużyny brazylijscy kibice i eksperci nie pokładają wielkich nadziei w występie na turnieju tej utytułowanej reprezentacji.

Ośrodek badania opinii publicznej Quaest opublikował sondaż, który dowodzi, że większość - 56% - brazylijskich fanów nie wierzy, że ich drużyna narodowa zdobędzie mistrzostwo globu. Natomiast 35% jest innego zdania.

Z kolei według badania bazującego na modelu statystycznym, opracowanym w brazylijskiej Szkole Matematyki Stosowanej Fundacji im. Getulio Vargasa (FGV), Canarinhos nie wejdą nawet do półfinału. Ich szanse oceniane na niespełna 4,7 proc. wyliczono na podstawie danych z blisko trzech tysięcy meczów 187 reprezentacji z całego świata, rozegranych w ostatnich czterech latach.

Mecz w New Jersey z Marokiem pokazał, że faktycznie Brazylijczycy obecnie mogą mieć spore problemy w rywalizacji z czołowymi drużynami turnieju. Od początku mieli spore problemy w defensywie, często nie nadążali za szybkimi Marokańczykami. W efekcie w 21. minucie Lwy Atlasu wyszły na prowadzenie. Świetnym prostopadłym podaniem został obsłużony Ismael Saibari. Pomocnik urwał się obrońcom i fantastyczną podcinką pokonał brazylijskiego bramkarza.

Duga połowa już z kontrolą Brazylii

Od momentu strzelenia gola ekipa z Afryki oddała jednak inicjatywę, co Canarinhos wykorzystali chwilę po upływie pół godziny gry. Po indywidualnej akcji i precyzyjnym strzale do wyrównania doprowadził Vinicius Junior.

Niestety, w drugiej połowie tempo rywalizacji siadło. Brazylijczycy grali uważniej w defensywie, ale też nie chcieli zbytnio się odkrywać przy akcjach ofensywnych. Przez większość spotkania przeważało Maroko, ale po zmianie stron już nie potrafiło zaskoczyć rywali. W efekcie starcie na arenie finału tegorocznego mundialu zakończył się podziałem punktów.

- Nie zaczęliśmy dobrze. Było za dużo nerwowości, zbyt często traciliśmy piłkę i przegrywaliśmy dużo indywidualnych pojedynków. Pierwsza połowa była słaba w naszym wykonaniu. W drugiej było lepiej, mieliśmy większą kontrolę. Ale to był generalnie trudny mecz, bo rywale to dobra drużyna. Często wychodzili spod naszego pressingu i przeprowadzali groźne kontrataki. Nie wygrywa się mundialu pierwszym meczem - mówił na pomeczowej konferencji prasowej selekcjoner Carlo Ancelotti.

Lepiej od piłkarzy Canarinhos na murawie, na trybunach stadionu w New Jersey zaprezentowali się ich kibice, którzy licznie dopingowali swój zespół na mogącym pomieścić ponad 80 tys. widzów obiekcie. Większość fanów reprezentacji Brazylii zapewne nie podróżowała na mecz z Ameryki Południowej, przecież w Stanach Zjednoczonych mieszka około miliona osób brazylijskiego pochodzenia lub po prostu Brazylijczyków, którzy lata temu przeprowadzili się do USA.

Komentatorzy słynnej brazylijskiej telewizji „Globo" nie kryli zaskoczenia niespodziewanym objęciem prowadzenia przez afrykańską drużynę w meczu z ich reprezentacją. W tamtejszych mediach start mundialu w wykonaniu Canarinhos oceniono negatywnie, ale udało się im znaleźć także pozytywy. Według brazylijskich dziennikarzy druga połowa spotkania napawa optymizmem na przyszłość w turnieju.

Australijska sensacja, radość Katarczyków

Z pozostałych meczów, które odbyły się w nocy z soboty na niedzielę, szczególną uwagę przykuł rezultat konfrontacji Australii z Turcją. Skazywani na porażkę piłkarze z antypodów niespodziewanie zaprezentowali perfekcyjną skuteczność w ofensywie i znakomitą postawę w defensywie. W efekcie byliśmy świadkami pierwszej sensacji na MŚ 2026. Turcy byli absolutnie bezradni i mimo sporej przewagi, przegrali 0:2.

Lepiej niż piłkarze Canarinhos na murawie, na trybunach stadionu w New Jersey zaprezentowali się ich kibice

Bliska sensacyjnego wyniku była także reprezentacja Haiti, dla której jest to drugi mundial w historii. W starciu z faworyzowaną Szkocją nikt nie dawał jej wielkich szans i co prawda faktycznie przegrała, ale minimalnie 0:1, będąc przez spore fragmenty spotkania drużyną naprawdę lepszą.

Historyczny pierwszy punkt na mundialu zdobył Katar, który w samej końcówce wydarł remis w meczu ze zbyt pewną siebie Szwajcarią. Europejska drużyna szybko objęła prowadzenie i myślała, że mecz „sam się wygra".

Helweci niespecjalnie forsowali tempo i czekali na zakończenie spotkania. Tymczasem w doliczonym czasie padła bramka na 1:1. Helweci nie dowierzali, gdy piłka zatrzepotała w siatce. Chwilę później sędzia zagwizdał po raz ostatni i katarscy piłkarze wpadli sobie w ramiona.

Obecnie pozostało już tylko 9 reprezentacji, które nigdy w historii nie zdobyły punktu na mistrzostwach świata. Wśród nich są jeszcze między innymi Panama, Irak, Haiti czy Demokratyczna Republika Kongo.

©℗

eprasa.pl 22d88d998a

Mundial 2026 Inne aspekty turnieju. Czym zaskoczyli nas organizatorzy MŚ 2026?

SĘDZIOWIE OBWIESZENI ELEKTRONIKĄ, PRZERWY NA NAWADNIANIE, CUDA-WIANKI

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

Już w pierwszych meczach mundialu zaobserwowaliśmy nowinki - zarówno technologiczne, jak i w interpretacji przepisów. Zaskoczeni byli nie tylko kibice - także piłkarze, a nawet sędziowie.



FOT. YURI CORTEZ/AFP/EAST NEWS

Sędzia meczu otwarcia, Brazylijczyk Wilton Sampaio, już zapisał się na kartach historii

Największą zmianą wprowadzoną od tegorocznych piłkarskich mistrzostwach świata jest oprawa przed każdym meczem. Jeszcze kilka dni temu, podczas spotkań towarzyskich przed turniejem, na murawę, aby odśpiewać hymny narodowe, wychodzili tylko piłkarze desygnowani do wyjściowych „jedenastek", a rezerwowi stali przed ławkami.

FIFA wprowadziła zmianę, że teraz na środek boiska wychodzą wszyscy powołani na imprezę zawodnicy, także ci rezerwowi. Mało tego, są ustawieni wokół koła środkowego, zwróceni twarzami do siebie, a nie w rzędzie przed główną trybuną.

Już w meczu otwarcia turnieju, w którym Meksyk zmierzył się z RPA (2:0), arbiter Wilton Sampaio z Brazylii pokazał, że sędziowie na mundialu potrzebują dodatkowej technologii, bo nie wystarczą już tylko gwizdek, notes, długopis i kartki.

Przy lewym uchu arbitrów stałym elementem jest sporych rozmiarów kamera. Z kolei do prawego przyczepiono słuchawkę połączoną z mikrofonem. Dzięki temu mają możliwość stałej łączności z zespołem VAR.

Nie brakuje również obligatoryjnych przerw w każdej części meczu - na nawadnianie. Piłkarze około 30. i 60. minuty schodzą na kilkadziesiąt sekund, aby uzupełnić płyny. Podobnie było już na mundialu w 2014 roku w Brazylii, ale wówczas tylko z powodu wysokich temperatur i to nie w każdym meczu.

Teraz taka przerwa obowiązuje w każdym spotkaniu i w każdej połowie.

Na inaugurację wspomniany Sampaio pokazał aż trzy czerwone kartki. Przy wyrzucaniu z murawy Themba Zwane z RPA musiał interweniować VAR, a tuż przed pokazaniem czerwonej kartki piłkarzowi w głośnikach na Estadio Azteca zabrzmiał głos Brazylijczyka, który łamaną angielszczyzną obwieścił, jaką podjął decyzję.

To nie wszystko, bo od meczu otwarcia obowiązywała także inna zmiana w przepisach. Otóż na wykonanie rzutów z autu i rzutów rożnych piłkarze mają teraz zaledwie 5 sekund.

Po przekroczeniu tego czasu piłka jest przyznawana rywalom. W pierwszych meczach mundialu, gdy jeden z piłkarzy jest faulowany i nie może się podnieść, a na murawę wbiegają służby medyczne, to ten zawodnik musi zejść z boiska i odczekać minutę.

Co ciekawe, FIFA zabroniła wnoszenia na stadiony plastikowych butelek wielokrotnego użytku. Tym samym po raz kolejny zmieniła zdanie w tej kwestii, zmuszając fanów do kupowania wody butelkowanej.

Jako ciekawostkę warto przytoczyć, że aż 289 piłkarzy nie reprezentuje kraju, w którym się urodziło. To 25 procent wszystkich 1248 zgłoszonych do turnieju zawodników. Znak naszych czasów... ©℗

Strzelanina, morderstwo, kradzież i tornado - to właśnie Ameryka

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Mistrzostwa świata w USA, Kanadzie i Meksyku dopiero co się rozpoczęły, a pozaboiskowych zdarzeń zanotowano już więcej niż na wcześniejszych mundialach.

Reprezentacja Anglii przeżyła trzy koszmarne tygodnie przed rozpoczęciem turnieju. Drużyna „Trzech Lwów" przygotowywała się do mundialu na Florydzie, a od minionego weekendu w Kansas City, gdzie szykuje się do swojego pierwszego meczu z Chorwacją w środę, 17 czerwca.

Anglikom zostało jeszcze kilka dni do zaprezentowania swoich umiejętności na mistrzostwach, a już mają za sobą wiele groźnych przygód. W ostatnich dniach, po treningu, o godzinie 20.00 czasu lokalnego zawodnicy dostali powiadomienia od Narodowej Służby Meteorologicznej USA, że nadciągają silne burze. Służby zaleciły zawodnikom, aby schronili się w solidnym budynku i aby nie podchodzili do okien. Wszystko dlatego, że wiatr miał wiać z prędkością do 80 mil na godzinę. Zaledwie 30 minut później Anglicy dostali wiadomość o tym, że zapowiadane jest tornado! Na szczęście obyło się bez szkód. Sprawę opisał „The Athletic".

Kilka dni wcześniej, gdy „Synowie Albionu" przebywali w West Palm Beach na Florydzie, w okolicach ich miejsca pobytu miały miejsce strzelaniny, w wyniku których życie straciło kilku mieszkańców z okolicy. Gdy rozgrywali swój ostatni mecz kontrolny z Kostaryką (3:0), spotkała ich nieprzyjemna przygoda. Sparing musiał zostać przesunięty o kilka godzin, bowiem nadeszła ulewna burza.

– To była mała próbka tego, co może wydarzyć się podczas turnieju – skomentował zdarzenie selekcjoner Thomas Tuchel.

Gdy Anglicy przenosili się do Kansas City, wcześniej do ośrodka wysłali swój sprzęt. I zanim dotarli na miejsce, zostali okradzeni. Ograbiono furgonetkę wiozącą buty, piłki, łóżka do masażu itp. Zawodnicy nie mieliby w czym trenować, ale szczęśliwie policja wytropiła złodziei i większość sprzętu wróciła do reprezentacji Anglii.



FOT. EPA/PAP

Reprezentację Anglii pod wodzą Thomasa Tuchela (w środku) nawiedzają w USA istne „plagi egipskie"

Drużynę „Trzech Lwów" spotkała jeszcze jedna nieprzyjemna sytuacja. Szef kuchni angielskiej kadry został zatrzymany przez ochronę podczas przygotowań do wejścia na pokład pociągu z West Palm Beach do Orlando. Wszystko przez... zestaw specjalistycznych noży kuchennych w jego bagażu. Noże bowiem uruchomiły wykrywacz metalu na stacji.

Makabryczną przygodę przeżyła reprezentacja Iranu przygotowująca się do meczów w USA w meksykańskiej bazie w Tijuanie. W pobliżu stadionu, gdzie trenują Persowie, policja odkryła w porzuconym SUV-ie rozkładające się ciało zapakowane w foliowy worek. Sprawcy morderstwa dotychczas nie namierzono. ©℗

Mundial 2026 w statystykach. Tabele, punkty, gole

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Za nami pierwsze rozstrzygnięcia na mundialu w Meksyku, Kanadzie i USA. Jak dotąd największą niespodzianką jest wygrana Australii z Turcją. Pierwsze punkty straciła też Brazylia.

Klasyfikacja strzelców
2 gole:
Folarin Balogun (USA).
1 gol:
Julian Quinones (Meksyk); Raul Jimenez (Meksyk); Hwang In-beom (Korea Południowa); Oh Hyeon-gyu (Korea Południowa); Ladislav Krejci (Czechy); Jovo Lukic (Bośnia i Hercegowina); Cyle Larin (Kanada); Gio Reyna (USA); Mauricio (Paragwaj); Breel Embolo (Szwajcaria); Ismael Saibari (Maroko); Vinicius Junior (Brazylia); John McGinn (Szkocja); Nestory Irankunda (Australia); Connor Metcalfe (Australia).

Klasyfikacja asyst
1. asysta:
P. Okon-Engstler (Australia), Promise David (Kanada), Alexander Freeman (USA), Malik Tillman (USA), Erik Lira (Meksyk), Hwang In-Beom (Korea Południowa), Julio Enciso (Paragwaj), Lee Kang-In (Korea Południowa), Bruno Guimaraes (Brazylia), Brahim Diaz (Maroko), Christian Pulisic (USA), Roberto Alvarado (Meksyk), Sead Kolasinac (Bośnia i Hercegowina), Vladimir Coufal (Czechy). ©℗

GRUPA A

Wyniki: Meksyk - Republika Południowej Afryki 2-0, Korea Południowa - Czechy 2-1.

1. Meksyk	1	3	2-0
2. Korea Południowa	1	3	2-1
3. Czechy	1	0	1-2
4. RPA	1	0	0-2

GRUPA B

Wyniki: Katar - Szwajcaria 1-1, Kanada - Bośnia i Hercegowina 1-1.

1. Szwajcaria	1	1	1-1
2. Kanada	1	1	1-1
3. Katar	1	1	1-1
4. Bośnia i Hercegowina	1	1	1-1

GRUPA C

Wyniki: Brazylia - Maroko 1-1, Haiti - Szkocja 0-1.

1. Szkocja	1	3	1-0
2. Maroko	1	1	1-1
3. Brazylia	1	1	1-1
4. Haiti	1	0	0-1

GRUPA D

Wyniki: Usa - Paragwaj 4-1, Australia - Turcja 2-0.

1. USA	1	3	4-1
2. Australia	1	3	2-0
3. Turcja	1	0	0-2
4. Paragwaj	1	0	1-4

eprasa.pl 22d88d998a













FOT. EAST NEWS

Ceremonia otwarcia mistrzostw świata odbyła się na trzech stadionach współgospodarzy mundialu - w Meksyku, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Wśród artystów kibice i widzowie na całym świecie mogli zobaczyć m.in.: Shakirę, Michaela Buble, Alessię Carę, Alanis Morissette, Jessie Reyez, Williama Prince'a, Norę Fatehi czy Kate Perry

Wokół mundialu Podczas ceremonii otwarcia mistrzostw świata zabrakło prezydenta Stanów Zjednoczonych

Wielki rozmach na otwarciu mundialu. Shakira oczarowała

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Po raz pierwszy w historii mistrzostwa świata w piłce nożnej miały aż trzy oddzielne ceremonie otwarcia: w Meksyku, Kanadzie i USA.

W stolicy Meksyku pierwszego dnia imprezy, przed spotkaniem Meksyku z Republiką Południowej Afryki, Shakira i Burna Boy wykonali utwór „Dai Dai", oficjalną piosenkę turnieju. Hymn Meksyku zaśpiewał Alejandro Fernandez, natomiast hymn RPA - Tyla. Wystąpili również: Belinda, Danny Ocean, J Balvin, Lila Downs, Los Angeles Azules i Mana. Podczas meksykańskiej ceremonii nie zabrakło także innych znanych twarzy. Kibiców przywitała ambasadorka turnieju, meksykańska gwiazda filmowa Salma Hayek, której wystąpienie miało w zamiarze „celebrować jednoczącego ducha piłki nożnej na arenie międzynarodowej".

W Meksyku obyło się bez kontrowersji

„Uroczystości związane z mistrzostwami świata FIFA 2026 w Meksyku będą świętem piłki nożnej, muzyki i kultury. Zainaugurują one największy w historii mundial" - można było przeczytać w komunikacie FIFA.

Bez długich politycznych przemówień, kontrowersji i zbędnego przeciągania - tak w piątek ceremonię otwarcia piłkarskiego mundialu podsumowała „Sueddeutsche Zeitung". Za jej największą atrakcję dziennik uznał monumentalny, blisko 90-tysięczny Estadio Azteca. Mistrzostwa świata rozpoczęły się na słynnym obiekcie w stolicy Meksyku przy mniejszym zamieszaniu, niż można było się obawiać - napisał „SZ". Niemiecka gazeta odnotowała, że widzom „oszczędzono długich i zakłamanych przemówień działaczy", a całe show zmieściło się w 20 minutach. Stało się tak mimo tego, że szef FIFA Gianni Infantino preferuje „ogromne i głośne" widowiska, a „epoka niewinnych balonów" już minęła.

„O ile jednak podczas inauguracji igrzysk olimpijskich, ostatnio w Paryżu w 2024 roku, w często wielogodzinnych widowiskach czasem rzeczywiście udawała się sztuka zetknięcia sportu z kulturą, a nawet historią, o tyle show otwierające mundial w Meksyku okazało się znacznie bardziej zwarte" - wskazał „SZ". Według gazety pozwoliło to, by „główną atrakcją" stał się słynny Estadio Azteca. Na Stadionie Azteków zgromadziło się ponad 80 tysięcy kibiców.

Ceremonia otwarcia w Kanadzie

Dzień po oficjalnym rozpoczęciu piłkarskich mistrzostw świata 2026 w Meksyku, inauguracja zawodów nastąpiła u drugiego z państw organizatorów - w Kanadzie. W Toronto przed meczem gospodarzy z Bośnią i Hercegowiną gwiazdami ceremonii otwarcia byli Michael Buble i Alessia Cara. Pierwsza część ceremonii rozpoczęła się od występów tancerzy przedstawiających kanadyjską historię, w tym jej rdzennych mieszkańców. Następnie włosko-kanadyjska piosenkarka Alessia Cara rozpoczęła część muzyczną.

Wśród piosenkarzy był francuski raper Vegedream. Podczas ceremonii wystąpili również Alanis Morissette, Jessie Reyez, William Prince i Nora Fatehi. Kibiców przywitał natomiast ambasador imprezy, kanadyjski aktor i komik Will Arnett. Po rozgrzewce zespołów Alanis Morissette zaśpiewała hymn Kanady, natomiast wybitny skrzypek Aleksandar Gajić wykonał hymn drużyny gości.

Inauguracja w USA miała inny klimat

Trzecią ceremonią była ta zorganizowana w Los Angeles przed meczem Stanów Zjednoczonych z Paragwajem. Na scenie zaśpiewała amerykańska gwiazda muzyki pop Katy Perry, a także LISA, Rema, Anitta i Future. Hymn gospodarzy zaśpiewał zespół Dan + Shay, natomiast hymn Paragwaju wykonał Purahei Soul.

Amerykańskim ambasadorem mundialu jest aktor i komik Jason Sudeikis, który przywitał kibiców podczas uroczystości „pełnej energii, odzwierciedlającej skalę, ambicje i wpływ kulturowy mistrzostw świata FIFA 2026".

Mistrzostwa świata rozpoczęły się w stolicy Meksyku przy mniejszym zamieszaniu, niż można było się obawiać

Na trybunach pojawiło się mnóstwo gwiazd Hollywood, między innymi: Leonardo DiCaprio, Tom Cruise, Brad Pitt, Sofia Vergara, Owen Wilson, piłkarz David Beckham czy jeden z najbogatszych ludzi na świecie Bill Gates. Specjalnymi gości byli prezydent Paragwaju Santiago Pena oraz sekretarz stanu USA Marco Rubio. Na meczu gościł również szef FIFA Gianni Infantino. W sektorze VIP zabrakło jednak jednej z najgłośniejszych postaci na świecie - prezydenta Donalda Trumpa, który podczas minionego weekendu świętował swoje 80. urodziny.

Każda z ceremonii odbyła się około 90 minut przed rozpoczęciem. Trzy koncerty zostały przygotowywane przez włoskiego producenta Marco Balicha, który stał także za ceremonią otwarcia tegorocznych Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo.

W tegorocznych mistrzostwach świata zostaną rozegrane 104 mecze. Ich gospodarzami jest 16 miast: 11 w USA, trzy w Meksyku i dwa w Kanadzie. Finał zaplanowano na 19 lipca w East Rutherford koło Nowego Jorku. W mundialu nie bierze udziału reprezentacja Polski, wyeliminowana w finale baraży przez Szwecję. Biało-Czerwonych ostatnio zabrakło w finałach MŚ w 2014 roku. ©℗

eprasa.pl 22d88d998a

Robert Lewandowski o krok od Chicago Fire

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Robert Lewandowski poleciał do Stanów Zjednoczonych zapoznać się na miejscu w stolicy stanu Illinois z kuszącą ofertą klubu MLS - Chicago Fire.

Po wygaśnięciu czteroletniego kontraktu z Barceloną Robert Lewandowski liczy na jeszcze jeden intratny transfer, podsumowujący jego niezwykle bogatą w klubowe sukcesy karierę.

Kapitan reprezentacji Polski znalazł się w kręgu zainteresowań klubów z Arabii Saudyjskiej, Włoch, Turcji, a nawet Anglii. Wśród klubów rozważających zatrudnienie 37-letniego napastnika wymieniano Al Hilal Rijad, Al Ittihad Dżudda i Al Ahli Dżudda z Saudi Pro League, Juventus Turyn i AC Milan z Serie A, Fenerbahce Stambuł z Süper Lig i Manchester United z Premier League. W przypadku klubów z Półwyspu Arabskiego, wbrew plotce o gigantycznym wynagrodzeniu 90 mln euro rocznie proponowanym „Lewemu", nie było żadnego konkretnego zapytania, włoscy giganci nie mogliby spełnić żądań finansowych Polaka, w Turcji wybrano nie tego prezesa, który optował za sprowadzeniem Roberta, a pomysł z „Czerwonymi Diabłami" sięgającymi po doświadczonego mentora dla 23-letniego Słoweńca Benjamina Šeško to było życzenie dawnej legendy United i reprezentacji Anglii, obecnego eksperta telewizyjnego Rio Ferdinanda.

Lewandowskiemu pozostała więc amerykańska opcja, na którą namawiał go agent Pini Zahavi, prowadzący interesy z właścicielem Chicago Fire, Joe Mansueto, który w marcu rozpoczął budowę nowego stadionu za 750 milionów dolarów.

22-tysięczny McDonald's Park ma zastąpić wysłużony przedwojenny Soldier Field (siedzibę drużyny futbolu amerykańskiego Chicago Bears) i powstać w centrum Wietrznego Miasta w 2028 roku i do tego czasu Chicago Fire chcą mieć „Lewego" w składzie.

„Strażacy" oferują Polakowi zawrotne jak na MLS warunki.


FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Robert Lewandowski, gdzie się nie pokaże, wzbudza zainteresowanie kibiców

Mowa o dwuletniej lub nawet trzyletniej umowie wartej ciężkie miliony. Gwiazdorski kontrakt Lewandowskiego, „obudowany" dodatkowymi premiami z tytułu umów reklamowych, może sięgać nawet 20 milionów dolarów rocznie.

Niedawnej gwieździe Barcelony podczas wizyty w Chicago pokazano apartamenty, z których miałby wybrać swoje lokum, szkoły dla córek Klary i Laury, a także miejsce na klub fitness dla żony Ani.

Póki co placem budowy jest nie tylko miejsce, gdzie powstaje stadion, ale również sama drużyna. W Fire nie ma wielkich nazwisk. Spodziewane nadejście „Lewego" wywołać ma efekt lawiny. Tym bardziej że właściciel planuje dorównać Interowi Miami, w którym oprócz Lionela Messiego grają jeszcze Luis Suarez czy Rodrigo De Paul.

Chicago Fire na wygranie MLS czeka od 1998 roku. W zdobyciu tamtego mistrzostwa pomogli trzej Polacy - Piotr Nowak, Roman Kosecki i Jerzy Podbrożny. W finale pokonali DC United 2:0 po golach „Gumisia" Podbrożnego i Diego Gutierreza, a przy obu asystował Nowak, który w 2003 roku został pierwszym członkiem klubowej „Galerii Sław".

Lewandowski byłby kolejną wielką gwiazdą, która śladami Messiego przeniosłaby się do MLS. Argentyńczyk po opuszczeniu Barcelony w 2023 roku trafił do Interu Miami. W MLS występują też między innymi znani „Lewemu" z gry w Borussii Dortmund i Bayernie Niemcy Marco Reus (LA Galaxy) i Thomas Mueller (Vancouver Whitecaps), Francuzi Antoine Griezmann (Orlando City) i Hugo Lloris (LAFC), Koreańczyk Son Heung-min (LAFC) czy Kolumbijczyk James Rodriguez (Minnesota United).

Z utytułowanych zawodników w „Strażakach" trzy ostatnie lata kariery (2017-19) spędził Niemiec Bastian Schweinsteiger - mistrz świata z 2014 roku oraz ośmiokrotny mistrz Niemiec z Bayernem Monachium.

©℗

Widzew sięga po kolejnego reprezentanta Polski. Ekstraklasa ruszy z przytupem

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

W cieniu mistrzostw świata dokonują się ciekawe ruchy transferowe w PKO Ekstraklasie. Królem letniego polowania zamierza zostać Widzew. Do Łodzi zmierza Karol Świderski. I nie tylko on.

Widzew Łódź marzy o tym, by w końcu powalczyć o mistrzostwo Polski. Właściciel Robert Dobrzycki bynajmniej nie zniechęcił się po ostatnim rozczarowującym sezonie. Wręcz przeciwnie, zależy mu jak nigdy wcześniej, dlatego przejął funkcję prezesa i obiecał kolejne miliony na wzmocnienia. I już po pierwszej zapowiedzi kibice pieją z zachwytu!

Partner „Lewego" już w drodze!

Oto do łódzkiego klubu według serwisu „Meczyki" zmierza bowiem Karol Świderski - wieloletni partner Roberta Lewandowskiego w ataku reprezentacji. 29-latek zostanie wykupiony za około 1 mln euro z Panathinaikosu Ateny. Do Polski wraca po przeszło siedmiu latach spędzonych w Grecji, Stanach Zjednoczonych i Włoszech. Dwa razy był na Euro i raz na mundialu.

Słowem, przychodzi snajper z prawdziwego zdarzenia, dla którego alternatywą był Afimico Pululu występujący ostatnio w Jagiellonii Białystok, który po tym transferze najpewniej wyjedzie z Polski.

Przymiarek do Widzewa jest oczywiście znacznie więcej. Za podobną kwotę co Świderski do zespołu ma przyjść jeszcze Kamil Jakubczyk. To piłkarz na dorobku. Jego Arka Gdynia spadła do 1. ligi, ale on pozostawił po sobie dobre wrażenie. Może grać w środku pola jako szóstka, ósemka albo nawet dziesiątka. Niewykluczone, że ten transfer oznaczać będzie, że do Łodzi nie trafi Patrik Hellebrand z Górnika Zabrze, kosztujący prawie dwa razy tyle. W klubie liczą się też ze stratami. Greckie media dopiero co informowały, że na radar tamtejszego Olympiakosu Pireus trafił Juljan Shehu.

W innych klubach PKO Ekstraklasy też się dzieje. Według ukraińskich mediów napastnikiem Bohdanem Wjunnykiem ze zdegradowanej Lechii Gdańsk zainteresowali się działacze Cracovii oraz Śląska Wrocław. Beniaminek z Dolnego Śląska zakontraktował


FOT. SYLWIA DĄBROWA

Do Widzewa już zmierza Karol Świderski - wieloletni partner Roberta Lewandowskiego w ataku kadry

dotąd dwóch piłkarzy, w tym środkowego pomocnika Grzegorza Tomasiewicza, sprowadzonego za darmo z Piasta Gliwice.

Wielkie sprzątanie w Wieczystej i Motorze

Z kolei Zagłębie Lubin myśli o ściągnięciu po latach napastnika Bartosza Białka, bohatera rekordowego transferu wychodzącego za 5 mln euro, który jest po przejściach (czyt. kontuzjach). W Wieczystej Kraków, kompletnym nowicjuszu ligi, na razie wielkie sprzątanie - z kadry ubyło dziewięciu piłkarzy, w tym Carlitos i Jacek Góralski.

Miniony tydzień przyniósł nam kilka potwierdzonych transferów, w tym hitowy, za jaki uchodzi przejście Bartosza Wolskiego z Motoru Lublin do GKS Katowice za 100 tys. euro odstępnego. Klub z Lubelszczyzny przechodzi wielką rewolucję. W sumie odeszło już z niego dziewięciu piłkarzy, a docelowo może nawet trzynastu. Z doniesień serwisu „Weszło" wynika, że zespołu nie poprowadzi trener Mateusz Stolarski. Większościowy właściciel Zbigniew Jakubas jest gotów wydać nawet 300 tys. euro na transfer Mariusza Misiury, szkoleniowca Wisły Płock.

A skoro o tej drużynie mowa, to kibicowski portal „Nafciarski" podaje, że we wtorek zbierze się Rada Nadzorcza, która potwierdzi rozstanie z trzema kluczowymi postaciami - oprócz Misiury rewelację ubiegłego sezonu mają opuścić prezes Piotr Sadczuk z dyrektorem sportowym Radosławem Kucharskim, łączonym z Jagiellonią Białystok. Z niej, przypomnijmy, z końcem czerwca znika współautor największych sukcesów, odpowiadający za kształt kadry Łukasz Masłowski.

W tym tygodniu dziesięć drużyn wznawia już treningi. Najwcześniej, już dzisiaj, zbiorą się piłkarze GKS Katowice. W środę po urlopach wracają zawodnicy Górnika Zabrze, Wisły Kraków oraz Zagłębia Lubin. Potem dołączą inni, jak choćby Legia Warszawa w sobotę. Najpóźniej ze wszystkich dokonają tego gracze Korony Kielce - 24 czerwca.

Poznaliśmy terminarz na nowy sezon

A ligowa spółka przedstawiła już ogólny terminarz sezonu, czyli zestaw par wszystkich kolejek. Dokładne daty inauguracyjnej serii poznamy tuż po pierwszych losowaniach eliminacji europejskich pucharów, czyli pod koniec bieżącego tygodnia. Dziś już wiemy z całą pewnością, że rozgrywki wystartują z przytupem, skoro będziemy świadkami takich meczów jak Wisła Kraków - GKS Katowice, Pogoń - Legia Warszawa czy Lech Poznań - Cracovia.

ZESTAW PAR 1. KOLEJKI
(24-27 lipca)
Wisła Kraków - GKS Katowice
Radomiak Radom - Wieczysta Kraków
Pogoń Szczecin - Legia Warszawa
Raków Częstochowa - Wisła Płock
Widzew Łódź - Motor Lublin
Jagiellonia Białystok - Korona Kielce
Górnik Zabrze - Śląsk Wrocław
Zagłębie Lubin - Piast Gliwice
Lech Poznań - Cracovia

©℗

eprasa.pl 22d88d998a

Wygrana na pożegnanie Linyi

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Polscy siatkarze pokonali w chińskim Linyi Ukrainę 3:2 (19:25, 18:25, 25:22, 25:21, 15:11) w swoim ostatnim meczu pierwszego turnieju Ligi Narodów.



FOT. VOLLEYBALL WORLD

Reprezentacja Polski na turnieju Ligi Narodów w Linyi w Chinach wygrała dwa mecze i poniosła dwie porażki

Reprezentacja Polski, która w 2025 roku wygrała rozgrywki, udanie rozpoczęła kolejny cykl Ligi Narodów, pokonując Kubę 3:0. Później jednak mierzyła się ze znacznie silniejszymi przeciwnikami, którym nie sprostała - przegrała ze Słowenią i Japonią po 2:3.

W każdym ze spotkań trener Nikola Grbić dokonywał zmian w wyjściowym składzie, w niedzielę w porównaniu do soboty Bartosz Firszt na przyjęciu zastąpił Michała Gierżota, a Bartosz Gomułka na ataku zmienił Alaksieja Nasiewicza.

Ukraińcy szybko narzucili rywalom swoje warunki gry, po asie serwisowym Jurija Synycii i zatrzymaniu Gomułki na siatce prowadzili 3:0. Atak Firszta i blok na Wasylu Tupcziju dał Polakom remis (8:8), ale gdy Tupczij wykorzystał kontrę, a Gomułka ponownie został zablokowany, zespół Raula Lozano miał przewagę 13:10. Biało-Czerwoni nie zdołali już zbliżyć się do rywali, zagrywka Dmytro Janczuka powiększyła dystans w końcówce (22:17). Seta zakończył Ilja Kowalow (25:19).

Początek drugiej partii wyglądał podobnie jak w pierwszej, Ukraina prowadziła 4:2 po błędzie Firszta. Gierżot doprowadził do wyrównania po 8, jednak gdy po raz kolejny w tym meczu zatrzymany został Gomułka, Biało-Czerwoni tracili trzy punkty (10:13). As serwisowy Tupczija powiększył przewagę jego ekipy (16:12). Na jednym z czasów wyraźnie zdenerwowany trener zwracał uwagę swoim podopiecznym, że boją się grać z Ukraińcami, a mają się bawić siatkówką. Rady nie pomogły w tej odsłonie, Polacy przegrali 18:25 po serii zagrywek Janczuka i błędzie Bartosza Zycha.

Dopiero w trzecim secie Biało-Czerwoni byli w stanie postawić się rywalom. Po serii wyrównanych akcji as serwisowy Jana Firleja pozwolił im objąć prowadzenie (9:7), które później powiększyli Bartłomiej Lemański i Aleksander Śliwka (15:10). Przy zagrywce Jurija Semeniuka Ukraińcy zdołali złapać kontakt punktowy (16:17), jednak końcówka należała do Polaków - triumfowali 25:22 po serii udanych akcji Nasiewicza i bloku na Kowalowie.

W czwartej odsłonie ponownie między zespołami toczyła się walka punkt za punkt, ale akcje Gierżota wyprowadziły Biało-Czerwonych naprzód (12:8). Później asa serwisowego dołożył Śliwka i było już 17:11. Ukraińcy się nie poddawali, stopniowo odrabiali straty, głównie za sprawą bloku, jednak udany atak Nasiewicza doprowadził do tiebreaka (25:21).

Tie-break od początku ułożył się po myśli Polaków. Ukraińcy popełniali coraz więcej błędów, natomiast po stronie Biało-Czerwonych dobrze grali Nasiewicz i Lemański (8:6). Po akcji Śliwki i pomyłce Kowalowa dystans wynosił już cztery punkty (13:9). Mecz zakończył blok na Semeniuku (15:11).

Najwięcej punktów dla Biało-Czerwonych zdobył Nasiewicz - 19.

Drużyna Grbicia po pierwszej rundzie Ligi Narodów 2026 zajmuje siódme miejsce.

Kolejny turniej Ligi Narodów Polacy rozegrają w Gliwicach w dniach 24-28 czerwca. Ich rywalami będą Belgia, Turcja, Niemcy i Argentyna.

W VNL 2026 gra 18 reprezentacji, które rozegrają łącznie 116 spotkań (108 w fazie zasadniczej plus 8 w turnieju finałowym). W fazie interkontynentalnej każda z drużyn wystąpi w trzech turniejach i zagra po dwanaście meczów.

Siedem najlepszych drużyn fazy interkontynentalnej oraz gospodarz Chin awansują do turnieju finałowego, który odbędzie się 29 lipca-2 sierpnia, podobnie jak przed rokiem w chińskim Ningbo. ©℗

Wielki powrót. Apoloniusz Tajner ponownie prezesem

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Podczas Walnego Zjazdu Sprawozdawczo-Wyborczego, który odbył się w krakowskiej Tauron Arenie, Apoloniusz Tajner został wybrany prezesem Polskiego Związku Narciarskiego.



FOT. PAP/ART SERVICE

Ciągnie wilka do lasu, czyli Apoloniusz Tajner prezesem

Były szkoleniowiec reprezentacji Polski w skokach narciarskich (1999-2004) był jedynym kandydatem. Za jego wyborem głosowało 75 spośród 81 delegatów, jedna osoba nie oddała głosu.

Tajner zastąpił na fotelu prezesa Polskiego Związku Narciarskiego Adama Małysza, który pełnił tę funkcję przez ostatnie cztery lata.

- Chciałbym więcej uwagi skierować w stronę klubów sportowych, trenerów, instruktorów, zawodników, okręgów sportowych i szkół mistrzostwa sportowego - podkreślił Tajner podczas pierwszego wystąpienia po powrocie na fotel prezesa. - To jest sól naszej działalności.

Kiedy został ogłaszany nowym prezesem PZN, Małysza nie było już w sali. „Orzeł z Wisły" opuścił salę obrad zaraz po głosowaniu, a przed liczeniem głosów. Przy okazji zasugerował, że Tajner zerwał z nim kontakty w ostatnim czasie i nie odbierał telefonów...

Dla 72-letniego trenera i działacza to powrót do biura przy ulicy Mieszczańskiej w Krakowie. Poprzednio urzędował tam w latach 2006-2022.

Pod jego kierunkiem Małysz zaczął odnosić pierwsze wielkie sukcesy - trzykrotnie z rzędu zdobył Puchar Świata, wywalczył trzy tytuły mistrza świata, wygrał 49. Turniej Czterech Skoczni oraz zdobył srebrny i brązowy medal na XIX Zimowych Igrzyskach Olimpijskich, które w 2002 roku organizowało Salt Lake City.

Na zjeździe wyborczym w 2022 roku, gdy został zastąpiony przez Małysza, otrzymał tytuł Honorowego Prezesa PZN.

Od 2023 roku Tajner jest posłem na Sejm. Zapowiedział, że do końca kadencji izby niższej parlamentu Rzeczypospolitej Polskiej będzie wykonywał mandat posła i nie wystartuje w kolejnych wyborach.

Wybrano także nowy zarząd Polskiego Związku Narciarskiego. W jego skład weszli: Mirosław Graf (przedstawiciel Dolnośląskiego Związku Narciarskiego), Wojciech Gumny (przedstawiciel Tatrzańskiego Związku Narciarskiego), Jarosław Konior (przedstawiciel Śląsko-Beskidzkiego Związku Narciarskiego), Rafał Kot, Marek Pach, Zbigniew Wuwer.

Małysz nie ukrywał, że cztery lata na stanowisku prezesa były dla niego bardzo wymagające. Jak przyznał, rzeczywistość działania dużej federacji okazała się znacznie bardziej skomplikowana, niż przypuszczał.

- Zderzyłem się z biurokratyczną machiną - przyznał szczerze.
©℗

Grad medali Polaków na mistrzostwach Europy

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Aż sześć medali wywalczyli reprezentanci Polski w mistrzostwach Europy w kajakarstwie, które odbyły się w portugalskim Montemor. Mistrzem Europy został Alex Borucki.

19-letni Polak zdobył złoty medal w konkurencji K-1 na 500 metrów. Boruckiego początkowo zdyskwalifikowano, ale po proteście polskiej federacji przywrócono mu złoty medal.

Wcześniej żeńska kajakowa czwórka w składzie Sandra Ostrowska, Dominika Putto, Adrianna Kąkol, Katarzyna Kościółek wywalczyła srebrny krążek w olimpijskiej konkurencji K4 500. Brązowy medal w rywalizacji C-1 na 200 metrów zdobyła Dorota Borowska, która dzięki świetnemu wyścigowi po brąz sięgnęła także w osadzie C-2 na 200 metrów wspólnie z Mileną Mackiewicz.

W niedzielę Anna Puławska zdobyła srebrny medal w olimpijskiej konkurencji K1 500 m. Polka w bardzo zaciętym finale przegrała z Niemką Pauline Jagsch o 0,84 s. Trzecia była Węgierka Zsoka Csikos. Po srebro sięgnęły też Martyna Klatt i Anna Puławska w olimpijskiej konkurencji K2 500 m. Polki przegrały z Niemkami o 0,53 s. Na trzecim miejscu uplasowały się Włoszki.

Słodko-gorzki występ Zwolińskiej

Kajakarka górska Klaudia Zwolińska, srebrna medalistka olimpijska i ubiegłoroczna dwukrotna mistrzyni świata, zajęła trzecie miejsce w swojej koronnej konkurencji - slalomie K1 w zawodach Pucharu Świata w Augsburgu. Wśród mężczyzn Mateusz Polaczyk był szósty. W rywalizacji kobiet triumfowała Niemka Ricarda Funk, drugie miejsce zajęła Francuzka Camille Prigent.

W slalomie C1 Kacper Sztuba zajął szóste miejsce, a do finału tej konkurencji nie awansowała Zwolińska. W eliminacjach była 14. Triumfowali Włoch Raffaello Ivaldi oraz Australijka Jessica Fox.

Pierwszy w karierze finał Majchrzaka

Kamil Majchrzak awansował do finału turnieju ATP 250 na kortach trawiastych w 's-Hertogenbosch. Polak po raz pierwszy zagrał o tytuł imprezy cyklu ATP, w półfinale pokonał rozstawionego z numerem trzecim Rosjanina Daniiła Miedwiediewa 7:6 (7-4), 6:1. Finał odbył się już po zamknięciu naszego wydania. Na półfinale występy w Holandii zakończyła Magda Linette, która na tym etapie przegrała z Barborą Krejcikovą 4:6, 6:7 (4-7).

Koszykarze 3x3 nie zagrają na Euro

Reprezentacja Polski koszykarzy 3x3 odpadła po fazie grupowej eliminacji ME w Koszycach i nie wywalczy awansu do wrześniowych finałów. Polacy ulegli Turcji i Finlandii w identycznym stosunku 18:19. O wygranej Finów i pierwszej w historii kwalifikacji ME zadecydował rzut w ostatniej sekundzie, który zatwierdzony został przez arbitrów po analizie wideo.

Polacy, zajmujący 20. miejsce w rankingu FIBA, zagrali w Koszycach w składzie: Michał Sokołowski, Michał Samsonowicz, Filip Put i Daniel Krużyński. Najlepszym strzelcem w obydwu spotkaniach był Michał Samsonowicz - z Turcją (34. lokata w rankingu) uzyskał 11 pkt, a Finom rzucił 6 pkt.
©℗



FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Polscy kajakarze zdobyli sześć medali podczas mistrzostw Europy. Żeńska czwórka sięgnęła po srebro

eprasa.pl 22d88d998a

MAGAZYN

SPORTOWY TYDZIEŃ

Mecz tęskniącej za wielkością Brazylii z Marokiem, który ma wiele do udowodnienia, zapowiadano jako hit początku mundialu, ale... STR. 19



FOT. GRZEGORZ WAJDA - NEW JERSEY

Czarodzieje nadal poszukują magii

SHAKIRA PRZYĆMIŁA PIŁAKRZY. GWIAZDA DAŁA NAJLEPSZE DOTĄD SHOW NA MŚ STR. 21

Wielki powrót do PZN. Apoloniusz Tajner ponownie został prezesem związku STR. 23

Robert Lewandowski wylądował w Chicago. Czy będzie spełniał swój amerykański sen? STR. 22

eprasa.pl 22d88d998a